

**D** **L** **U** **S** **Z** **C** **Z**

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

A L L E L U J A



Bądźcie pozdrowione. — Niebójcie się.

Ewang. według Ś. Mateusza Rozd. XXVIII w. 8—10.

## POGA WĘDKA

Choć wiem z góry, że życzenia moje dojdą do was dopiero po świętach i to wtedy, kiedy los sam się już rozprządzi, nie według serc życzliwych, ale według swego widzimisię, posyłam wam wyrazy: „wesołego Alleluja!“...

Wielkanoc należeć będzie już do wspomnień w chwili, gdy ten numer *Bluszczu* przyjdzie pogawędzić z wami; chciałby jednak, abyście wiedzieli, iż o obowiązku kronikarza, śmiem powiedzieć przyjaciela, swych czytelników, pamiętałem, pisząc ten feljeton przed samymi świętami.

Niebo się wystroiło nagle w szafiry swoje, otrząsało chmurzyska z siebie, wysypało resztki śniegu, który mu z naddatków zimy pozostał, i świeci mi nad głową najświeższymi blaskami wiosny, jakby dla kontrastu z żalobą ziemi, z czarnym kirem, co z grobu Chrystusa się zwiesza.

Oby tylko nie skaprysiło w same święta, nie zmarszczyło czoła i płakać nie zaczęło wtedy właśnie, gdy ludziom na wesołość i uciechę się zbierze.

Pogoda w święta to najpiękniejszy podarek, jaki niebo ziemi dać może; na tę pogodę ludziska czekają z upragnieniem, rojąc najrozkoszniejsze marzenia... A spacer, a Ujazdów, a pierwsze wycieczki w Aleje i do Łazienek — to przecież tylko pod protektoratem słońca możliwe uroczystości.

Mój Boże, czasem tak mało potrzeba ludziom, aby ich uszczęśliwić; trochę światła, trochę ciepła i... trochę groszy w kieszeni. W tych czasach to już sama pogoda wystarczyć musi do zadowolenia; kieszeń brzęcząca stała się nadzwyczajnością.

Dawniej był kłopot z biedą, dzisiaj chyba większa bieda z majątkiem, zwłaszcza umieszczonym w spekulacjach i przedsięwzięciach.

Nie mam nic do stracenia, — nie boję się i sypiam spokojnie; mam trochę jakiego takiego mienia — to zaraz spać nie mogę, spokoju nie mam, co chwila grozi mi katastrofa najmniej spodziewana, zaczawszy od tego, że mi czmychną moi dłużnicy, przepadną depozyta, okradnie mnie kassyer, roztrzęsie mnie giełda, a skończywszy na tem, że mnie samemu się sprzykrzy strach przed możliwymi nieszczęściami.

Panie Boże, dziękuję Ci, żeś mi w tych czasach nie dał miliona na giełdzie, ani cukrowni, ani fabryki, ani żadnego przedsięwzięcia, któreby zbankrutować mogło w ciągu dwudziestu czterech godzin...

\* \* \*

Mam starego przyjaciela, który mnie ciągle zapewnia, że będzie lepiej, — niech-no tylko złe minie!.. w tem właśnie sęk, że to złe trwa za długo, a „nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje“. Żeby to tylko oczy...

Jeśli tak dłużej potrwa, będziemy mogli na wystawie higienicznej, jako osobliwość, wystawiać wyjątkowo zachowane okazy: zdrowego żołądka, zdrowego kredytu i zdrowego rozsądku; trzeci rzeczy coraz rzadszych w naszej strefie.

Charakterystyczny to objaw, iż powódz wystaw najrozmaitszych przypadła u nas w czasach, w których coraz mniej mamy do pokazania wszystkiego.

Ta higieniczna wystawa jednak zapowiada się w sposób wyjątkowo zajmujący i prawdopodobnie celu swojego dopnie, byle jej inicjatorów krytyka nadto gorliwa nie przyprowadziła później o chorobie, jak to się omal nie stało z inicjatorami wystawy starożytności z powodu .. katalogu. Napsuto bie-

dnemu komitetowi krwi za ten nieszczęsny katalog, który, jak każde dzieło rąk ludzkich, a zwłaszcza dzieło bardzo pośpiesznie dokonane, musi mieć swoje wady i usterki.

U nas wszelako dla jednej plamy na słońcu zwykło się całe słońce potępiać; skoro ma plamę — gorsze jest od łójki, choćby świeciło, jak najpiękniej.

„Za twoje dobro — kolka cię w ziobro.“ Zapomina się tak łatwo o zasłudze, trudach, staraniach, dobrej woli i poświęceniu ludzi, którzy, choćby nawet wadliwą rzeczą, przyczyniają się do dobrego celu i wlecze się ich pod pręgierz, przed kratki, na forum, z wielkim krzykiem oburzenia; nie uwzględnia się, że do krytyki „wszyscy wraz, do roboty mało was“; że chcąc cokolwiek zrobić dla publicznego dobra, trzeba liczyć tylko na siebie samego najczęściej i nie polegać na wyręczeniu i pomocy drugich.

Koniom pozwalamy się potykać na gładkim bruku; bliżnim naszym nie wybaczymy żadnego potknięcia, choćby ono nikomu szkody żadnej nie wyrządziło.

Od czasu Zoila wprawdzie uskarżano się na krytykę, raczej na krytyków, i to rzecz naturalna; miłość własna i ambicja, a zwłaszcza zarozumiałość twórców czy wykonawców będzie zawsze podejrzawać złą wolę i niesprawiedliwość. Na to niema rady; jednak niech te uprzedzenia nie znajdą oparcia i gruntu w samej krytyce; — dzisiejsza, niestety, miewa często nie jedną, ale dwie pięty achillesowe.

Podobnie, jak z wystawą starożytności, odsądzoną przez niektórych znawców, „bardzo świeżej daty“, od wszelkiej wartości i znaczenia, stało się i z wystawą szkiców konkursowych na kościół prazki; gdyby każdy z tych budowniczych, którzy pośpieszyli na wezwanie komitetu ze swoją pracą w nadziei otrzymania nagrody, zburzył był świątynię, zamiast ją stawiać (dopiero na papierze), nie doczekałby się surowszego sądu od owej krytyki, którą czytałem w jednym z pism codziennych, a przeciw której zaprotestował ktoś w *Kuryerze Porannym*.

Ależ to nie zbrodnia jeszcze nie napisać arcydzieła, nie stworzyć pomnikowej rzeczy, nie zdobyć się na genialny pomysł; geniusz i talent, nawet zdolność, nie są niczym obowiązkiem, którego zaniedbanie zasługiwałoby na wyrok potępienia. Gdyby to od nas zależało, wszyscy byłibyśmy z pewnością genialnymi.

Przed tygodniem konkurs budowniczy został rozstrzygnięty; na 21 sędziów pierwszą nagrodę 15-tu głosami przyznano p. Józefowi Dziekońskiemu, który jest już potrójnym laureatem, — według jego-to planów wykonywa się obecnie powiększenie kościoła św. Alexandra.

Drugą nagrodę udzielono p. Władysławowi Marconiemu, trzecią zaś panu Ignacemu Jarzkiemu.

„Konkursomania“, wyszydzana niesłusznie przez ludzi z niczego niezadowolonych, okazuje się jednak pożyteczną w rozmaitych kierunkach. Do szeregu ogłoszonych konkursów literackich i artystycznych, których mamy w roku bieżącym niemało, przybywa nowy; rozpięła go młodzieńka „Lutnia“, wzywając muzyków polskich do skomponowania śpiewanego hasła, przygrywki wokalne na chór męzki bez akompaniamentu. Text stanowią słowa Mickiewicza: „O pieśni gminna, ty arko przymierza między nowemi a dawnemi laty! w tobie lud składa broń swego rycerza, swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty“, — lub Kochanowskiego: „Lutnia, wódz tańców i pieśni uczonych; lutnia ochłoda myśli utrapionych, — ta serce miękczy swym głosem przyjemnym bogom podziemnym“.

Chór nie powinien według warunków konkursu przenosić 24 taktów; ostateczny termin nadesłania partytury oznaczono na dzień 15 Maja r. b.; nagroda wynosi pięć dukatów w złocie, które się rozejdą zapewne szybko, ale powstanie droższa od złota chluba i pamięć, gdy nagrodzony utwór stanie się popularnym hasłem każdej śpie-

waczej drużyny i rozejdzie się wszędzie, gdzie mają uszy ku słuchaniu, a serca drgające żywiej przy odgłosie „pieśni gminnej“...

Powiadają, iż płeć piękna zamierza utworzyć i nastroić wdzięcznymi sopranami i altami drugą „Lutnię“ wyłącznie żeńskiego rodzaju; myśl ta powstała wśród miłośniczek śpiewu, których w Warszawie nie braknie. Jestem prawie przekonany, że pięknych głosów kobiecych znajdzie się u nas więcej, niż stosunkowo męzkich; nie w tem dziwnego, skoro płeć piękna podobno od... aniołów pochodzi.

Mężka Lutnia zyskałaby tedy współzawodniczkę w Lutni żeńskiej a emulacja ta wywarłaby korzystny wpływ na oba stowarzyszenia, poświęcone pięknej gędzbie; w następstwie śmiem najpiękniejsze rokować nadzieje, gdy „dwóch Lutni zjednoczone głoski“ utworzą harmonią, pod której wrażeniem nietylko serca słuchaczy marzyć i topnieć będą musiały.

Użyłem starego wyrazu „gędzba“ powyżej nie bez umyślnego celu; chciałem o gędzbę zacząć wzmiankę o małej broszurce, która jest owocem wielkiej i mozolnej pracy. Broszurka ta wyszła z druku przed kilku dniami i nosi tytuł: „*Wyrazy obce w „Sonetach Krymskich“ Mickiewicza*“; autor jej, p. Ludwik Radliński, pracujący od wielu lat na polu językoznawstwa, zebrał liczny i cenny materiał do dzieła szerokich rozmiarów, który przy sprzyjających okolicznościach wydać zamierza. Będzie to „Słownik etymologiczny języka polskiego“, a celem jego przyczynienie się do pogłębienia znajomości tegoż języka wśród ogółu oświeconego, któremu ułatwi dokładne zrozumienie każdego wyrazu. Używamy bowiem mnóstwa wyrazów, nie znając dobrze ani ich znaczenia właściwego, ani ich pochodzenia. Któż naprzykład wie o tem, że słowo: *żenować się* ma daleki związek ze starożytnością, z Judeą biblijną i pochodzi od *gehenny*, miejsca dawnego śmietnika pod Jeruzolimą, gdzie żydzi ongi postawili świątynię Molochowi, gdzie potem wstrętem i grozą przejmował ich widok tej pamiętki ich odszczepieństwa; a z biegiem lat Francuzi jedno pojęcie złagodzili drugiem i z *gehenny* utworzyli sobie nowy wyraz w swoim języku na określenie pewnego wstydu i ociągania się, który przeszedł do naszego słownika z wielu innymi wyrazami?

Na pozór rozumiemy dobrze, co mówimy; gdyby nas wszelako wzięto na ścisły examen, pokazałoby się, że gadamy często, jak wyuczone papugi, ani zdając sobie dobrze sprawy ze słów naszych.

Zkąd się wziął w naszym języku wyraz tak pospolity, jak: *żołnierz*, teatr i t. p.?.. odpowiedź bardziej zajmującą, niżby się wydawać mogło, dają badania etymologiczne, stanowiące bardzo poważną naukę.

Pan Radliński sposobem próby wydał swą broszurkę, stanowiącą zaledwie setną część dzieła, nad którym pracuje od lat wielu; pomieścił w tym urywku jedynie wyrazy obce, znalezione w „Sonetach Krymskich“ i na nich przystępnie, pouczająco objaśnił pochodzenie i znaczenie każdego przyswojonego terminu. Dla zachęty warto przeczytać tych kilkadziesiąt stron. Kiedyś może całe dzieło ukaże się w druku, a wtedy przybędzie nam znowu książka, którą piśmiennictwo polskie chlubić się chyba będzie mogło.

Przypominać w dzisiejszych czasach obowiązek względem rodzimego języka, namawiać do jego studyowania, uprawy, umiłowania, — byłoby to niejako znieważać uczucia wyssane z mlekiem matki.

Wyrazy są, jako gniazda, myśli jako ptaki w nich; zburzcie gniazda — a ptaki ulecą, — powiedział kiedyś wielki znawca języka i pisarz niepospolity w naszej literaturze.

Gdy mówię o niepospolitym pisarzu, mrok mi zaraz zasłania oczy, widzę przed sobą trumnę na kirem pokrytym katafalku, obrzuconą lawiną wieńców w krypcie pijarskiego kościoła w Krakowie, gdzie śmiertelne szczątki Kraszewskiego sprowadzone z Genewy czekają przystojnego im pogrzebu i złożenia w Panteonie zasłużonych na Skalce. Nawet zwłokom zagrodzono drogę przez

ziemię, na której stoi twierdza magdeburska... Musiano w ostatniej chwili zmienić marszrutę i przez Tyrol, na Wiedeń, wieżę zmarłego do Krakowa.

Obecnie czynią się przygotowania do smutnego aktu, który zakończy doczesną wędrówkę wielkiego nieboszczyka; w przyszłym tygodniu ma się odbyć wspaniały pogrzeb J. I. Kraszewskiego w tym samym Krakowie, w którym półtora roku temu rozbrzmiewały odgłosy tryumfu jubilata.

Plakać po nim będą wszystkie dzwony i wszystkie serca jego ziomek...

Jak było do przewidzenia, tak się stanie; przez lat kilka jeszcze literacka spuścizna tego wielkiego siłacza twórczej myśli i pióra zadziwiać nas będzie poza grobowym echem olbrzymiej pracy Kraszewskiego. Z krótkiego, pobieżnego poglądu pism pozostałych w tekach nieboszczyka widać, że materiał przeznaczony w rękopismach do druku wypełni jeszcze setki stronnic w książkowym wydaniu; oprócz „Nocy bezsennej“, jedynej autobiografii zmarłego w dwóch tomach, oprócz pozaczynanych powieści w druku, oprócz dalszego ciągu utworów z cyklu historycznego, znaleziono w zapasach około dwudziestu konwolutów opieczętowanych przez Kraszewskiego w willi Miraflores, zamieszkiwanej przez niego ostatnie mi czasy w San Remo. Są tam powieści skończone kilkutomowe, jak: „Wysokie progi“, „Nera“, „Przygoda Stacha“, powieść historyczna z czasów sejmu czteroletniego, jest gotowe dzieło po francuzku pisane p. t. „Lettres sur l'Allemagne“, zawierające dużo wiele ciekawych dat i spostrzeżeń, dotyczących się życia politycznego, literackiego i społecznego w państwie niemieckim, których, pomimo wysokiego honorarium ze strony wydawców paryżkich, nie chciał autor drukować bezpośrednio po processie lipskim, aby ujemne sądy nie były uważane za odwet udęconej ofiary. Olbrzymi, od kilkunastu lat gromadzony i w części znacznej opracowany, materiał do „Historii oświaty w Polsce“, skończona dwutomowa „Historia teatru naszego“ mnóstwo fragmentów prozy i wierszem, kopalnia notatek, szkiców, rysunków, tłumaczeń, przepisanych własną ręką nieboszczyka aktów i dokumentów, stanowią bogatą i cenną spuściznę po tym człowieku, który przez pół wieku z taką rozrzućną hojnością obdarzał cały ogół polski dziełami swojego ducha i talentu.

Powstał projekt urządzenia wystawy dzieł, rękopism, pamiątek po Kraszewskim—oryginalnej, jedynej w swoim rodzaju, która utworzyłaby osobne Muzeum „Tytańca pracy“; dochód przewidywany słusznie starczyłby na podwalinę funduszu, za który stanąłby pomnik należny zmarłemu. Myśl dobra i na czasie; odkładać jej nie godzi się, bo wiemy z doświadczenia, jaki los spotyka odlewane projekta pomnikowe u nas.

Bez odezwy, w pierwszym porywie wdzięcznych uczuć ogółu, dotkniętego srodze stratą tak bolesną i niepowetowaną, zaczęły same napływać składki na pomnik i na pogrzeb.

W samej redakcji *Kłosoś* złożono rs. 111 z prowincyi, ofiarowanych bezimiennie na kosztą żalobnego nabożeństwa, których nie przyjęto ze strony zarządu kościelnego ani za exekwie, ani za przybranie kościoła — do rozporządzania czcigodnej wdowy po Nestorze naszej literatury. Pani Kraszewska tę kwotę przeznaczyła na druk książki zbiorowej, której wydaniem na rzecz wdowy po s. p. Kazimierzu Wł. Woycieckim zajmuje się Adam Pług. Piękna to ofiara jednej wdowy dla drugiej po zasłużonym literacie...

Smutne mam myśli, kir przed oczyma, psalmy i dzwon pogrzebowy w uszach... wybaczenie, że do żadnego innego już tematu z ubiegłych dwóch tygodni nie przejdę,—nie godzi się od trumny Kraszewskiego odwracać wzrok w inną stronę.

Quis.

## Charaktery kobiet u Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Kraszewski daje kobiecie naszej wielki udział w społecznej pracy narodu. Że kobieta tworzy obyczaj, jest rzeczą nietylko u nas, ale wszędzie znaną i uznaną, ale tu chodzi o coś innego jeszcze. W spostrzeżeniach swoich nad życiem naszym widzi on, że są pewne sprawy i prace społeczne — postępu, przetwarzania starych już i spróchniałych form istnienia, których ona pierwszej od mężczyzny się ima, podejmuje je odważniej i silniej, wytrwalej przy nich stoi, przeciw bynajmniej nie przez jakieś śmiałości, właściwe mężczyznom, bo tych obrazek, jeżeli gdzieś naszkicował, to nigdy nie wychodzi on dodatnio, ale przeciwnie, przez najdoskonalszą kobiecość, bo przez miłość, przez siłę uczuć rodzinnych, gorąco w sercu noszonych. Kobiety w powieściach Kraszewskiego, jeżeli nie mają to już być skończone wieźnice i wielkoświatowe lalki, bywają często głębiej i poważniej, niż mężczyzna, w stosunki życia patrzące, ale zawsze siłą, z której się to rodzi, z której to potem rozpęd do czynu bierze, jest uczucie. Ilustracją takiej kobiety daje on w przepięknej postaci Ceylii Horyszkówny, w *Resurrecturi* a jest ona skupionem wcieleniem rozmaitych rysów przewidującego rozumu, pracy, męztwa, zaparcia się siebie, które ukazywał w różnych postaciach kobiecych, rozrzuconych wśród powieści swoich. Jest to jedyna, o ile pamiętam, powieść Kraszewskiego, która może być nazwana tendencyjną, a której tendencją jest uratowanie starego rodu, już na zagładę skazanego, przez siłę i poświęcenia kobiety, przez rozum umiający patrzeć w głąb rzeczy.

*Resurrecturi* jest jakgdyby drugą odsłoną w tragedyi, której akt pierwszy przedstawia powieść *Morituri*, i że taką myśl Kraszewski miał, wykazuje użycie dwóch tytułów łacińskich dla tego zapewne, aby ta ich odrębność od innych a skojazzenie między sobą myśl tę wyraźniej uwidoczniły. „*Morituri* te salutant...“ to hasło tych gladiatorów rzymskich, którzy idą spokojnie umierać na arenie cyrku Cezarów, nie przedsięwzięjąc nic, aby się przed okrutnym swem przeznaczeniem uchronić, nie próbując walki, nie czyniąc wysiłku żadnego dla ocalenia się i zapewnienia sobie życia. Los stanowi, który z nich wśród igrzyska dzisiejszego padnie, aby jutro kolej przyszła na drugiego. Mają siłę, mają męztwo, walczą między sobą zacięcie, aby jeden drugiemu wziął, a sobie w ten sposób przedłużył życie, ale nie przychodzi im do głowy myśl, że można jednak zmienić to istnienie, nad którym unosi się wyrok niechybnej zagłady — że można sobie inne jego tory wytworzyć i iść niemi.

Bezmyślność zatem na ofiarę ich wydaje. Pełni wszystkich przymiotów, które życie pełnem i szerokiem czynią, nie posiadają tylko jednego—ruchu myśli, któraby im kazała przymiotów tych użyć na zapewnienie sobie istnienia — „Ci, którzy mają umierać, pozdrawiają cię...“ mówią przeznaczeniu swemu a choć brzmienie tych słów zdaje się cechować ich pewną godnością dumy wyniosłej, jest to przecież apatya tylko i brak żywotności.

Powieść *Morituri* taki obraz przedstawia. Rodzina stara, książęca, z samych szlacheckich osobistości złożona, a mająca majątek jeszcze ogromny, przepada dla tego—umiera, że zastygła w starych formach. Życie nigdy w miejscu nie stoi; jest i musi być ciąglą przemianą, odradzaniem się ciąglą — odrzucaniem narzędzi swych zużytych, a przyspasabianiem sobie nowych do dalszego pełnienia funkcji życiodajnych. Ale tej prawdy, tego nieodwołalnego prawa natury starożytna rodzina książąt Brańskich nie rozumie—nie widzi, że w koło niej rzeczy się zmieniają, że im trzeba—nie swoje stare, szlacheckie tradycje porzucić, ale ich ducha, bo ten jest nieśmiertel-

ny, unosząc, w nowe kształty je wszczepić. Że tego nie czynią, tak cnoty ich, jak wady składają się na to, że muszą paść—zniknąć z powierzchni ziemi...

Kobieta z tego rodu skazanych miała przecucia, sny ciężkie i mówi bratu w chwili bolesnej pierwszego pozwu, który im przysyła los: „Ja to przeczuwałam oddawna... Nie wiem czemu śniły mi się często jakieś okropne z raju wyganiania, jakieś z domu ucieczki, jakieś łachmany brudne na mnie, na ojcu, i ludzie, urągający nieszczęściu naszemu... Lecz któżby urągać śmiał, któż ma żal do nas? Nie zawiniłszy nic nikomu...“

Myliła się córka nieszczęsnego rodu *Morituri*. Zawinił oni, oh! zawinił wobec najświętszych społeczeństwa swego rzeczy, wobec przyszłości i przyszości. Zajmowali stanowiska, jakgdyby grodów obronnych dla utrzymania tradycyi starych, dla niewypuszczenia z rąk naszych mienia, które można nazwać narodowem, bo przestawało być takim skoro, z ich niedołączonych rąk wypadłszy, przechodziło w ręce obce, wrogie, w ręce kolonizatorów niemieckich, cywilizatorów przetrzonych w imię nie naszej tradycyi, bo niebędących gością z naszej kości,—krwią z naszej krwi; duchem z naszego ducha—naszem uczuciem, pojęciem, pragnieniem: naszą miłością, wiarą, nadzieją! I dlatego sny księżniczki Stelli nie skłamały... Ludzie mają do takich upadłych żal, mają na nich oburzenie gniewne — pogardę nawet, jak dla tych, co z obowiązku swego zbiegli, co w obowiązku swym nie dotrwali. Nie może to być inaczej i, choćby było nielitosnem, jest sprawiedliwym.

Biedna córka umierających zrywa się ostatkiem sił i woła:—„Męztwa bracie, męztwa!...“

„Nas dwoje musi robić wiosłami na tej nawie rozbitków, bośmy młodzi i silni.“

Lecz wychowana w katakumbach nie umie już wciągnąć w pierś powietrza świeżego i jakież to jest srodek ocalenia, którego się chwytą? Nie praca odważna ze skutkami długoletniego zaślepienia i zastoju, ale ofiara nieszczęśliwa i niegodna dziewicy szlacheckiej: małżeństwo bez miłości z człowiekiem, który pieniędzmi swemi uratował-by od zagłady starą jej ojcowiznę. Przy wychowaniu jej i wśród otoczenia, w jakim się znajduje, nie mogła zdobyć się na nic innego, podobnie jak i brat jej, książę Robert. Oboje poświęcają się podobnie dla ojca, bo nawet nie ma w nich dumy rodowej, a już o obowiązku jakimś względem kraju, o jakimś znaczeniu wśród sprawy ogólnej ich utrzymaniu się na gruncie starym, nie myśli wcale to dwoje młodzi, z kądną szlacheckiej. Książę Robert, gdy małżeństwo jego z panną brzydką, słabowitą, bez żadnej wartości moralnej, tylko posiadającą dwa miliony posagu, chwije się, a on nie zdobywa się na żaden krok, któryby sprawę jego poparł, tak odpowiada kobiecie, która mu mówi, że jednak tacy, jak on, synowie starych rodów „żenią się z posagami dla podtrzymania domu“ — „Bo wierzą może w posłannictwo jego, a ja... nie wierzę w nic!...“

Doszedł do tego przeżycia się w życiu beczynnem, młodość zmarnował, mimo tego, że natura była szlachecka i zdolna kochać gorąco, ale syn umierających nie znalazł sobie formy życia nowej dla działalności młodzieńczej, a gdy o wartości starej musiał zwątpić, musiał zarazem nie widzieć przed sobą nic i dojść do przekonania, że żadnego posłannictwa w życiu dla niego niema, że musi dożywać końca dni swoich, a potem zniknąć ze świata, nieżałowany przez nikogo, bo nikomu nieużyteczny, niepotrzebny na nic.

I księżniczka Stella czuje taksamo. W arystokratycznych przekonaniach wychowana, jest ona kwiatem cieplarnianym; przesłiczna, wdzięku pełna, dobra, tkliwa, ma przecież w sercu tylko to uczucie naturalne, które jedynie rozwinąć się w niej mogło: miłość dla ojca, i dla tej miłości się poświęca. Kiedy grom pada, jej tylko żal ojca serce rozrywa, i tylko dla niego się poświęca na związek z niekochanym, a znośnym jedynie. Nie czuje, że to jest straszne kupczenie istotą swoją, że to jest i względem tego człowieka, któremu się bez miłości ma oddać, grzech; bo czyż mu będzie taką żoną i życia towarzyszką

wszystkiem jego interesom całą duszą oddaną, jak byłoby wtedy, gdyby w piersi jej była miłość? Nie widzi nawet, że postępuje egoistycznie, że w tym związku we dwoje myśli o sobie, bo o swoich, stoi na planie pierwszym. Wprawdzie nie czuje do Zygmunta Garbowskiego—nie paniczka, lecz tylko syna prostego szlachcica, wstrętu żadnego i jest też tu ona, jak Antygona „ofiara spokojna”. Choć raz, gdy chodziło o uczynienie na rzecz ogólnego dobra rodziny, ojca, ofiary z klejnotów rodzinnych, ona woła do brata: „Nie czyni mnie samolubnym dzieckiem.. niech będę niewiastą mężną, bo przecież rycerska krew w żyłach moich płynie”—nie czuje w niej jednak nic tej krwi rycerskiej.

Gdyby tak było, możeby Zygmunt był w niej potrafił wzbudzić jakies gorętsze serca uderzenie. Trochę „wisusowaty” w pierwszych latach młodości, trochę szalawila, jest w nim przecież pewna szlachetność wyższa, zdolność do uczuć miłości bezinteresownej, zapal, poświęcenie grosza dla tego, co ukochał, i choć ojciec jego wieprzami handlował, jemu odzywa się w sercu coś krwi tych, co na zagrodzie równali się wojewodzie, bo porówni z wojewodą mieli prawo i obowiązek służenia rzeczy ogólnej. A przytem jest w tym Zygmuncie wisusowatym i artysta; muzykę kocha, Liszta gra z zapalem, całe poemata na pamięć umie—więc mogłoby jej serce, nigdy jeszcze niezajęte żadną miłością inną, nigdy niewzruszone, drgnąć dla niego i z wdzięcznością mogło być przyjść uczucie żywsze, cieplejsze. Ale ona, arystokratycznie wychuchana, wydelikatniona, potrzebująca jakiejś wykwitności form—kwiat *noli me tangere*, rosnący na łądycie wysokiej—na zdrowe, naturalne, żywe uczucie już się zdobyć nie może, i obok poświęcenia, które dla ojca czyni, nie przychodzi jej nawet na myśl, że Zygmunt Garbowski to materal na szlachetnego obywatela, dzielnego na stanowisku swoim człowieka, któryby nie wegetował wśród starych pamiątek, ale w nie tchnął życie żywe....

Nic w niej tego niema. Od przysięgi kłamanej, od zawiązania życia szlachetnemu, bezinteresownemu młodzieńcowi, obroniła ją tylko to, że Zygmunt poznał jej stan serca, że sam wreszcie wobec tej piękności chłodnej, jak kamea na agacie rznęta, wystygł, z miłości swej gorącego porwy ochłonił. Do końca szlachetny on jest i bezinteresownie już czyni dla niej co może, ale ich drogi nie spływają w jedną, razem przez życie wiodącą, i księżniczka pozostaje na zawsze przy ojcu, piastunka tkliwa i łagodna jego starości. W nim, w starym księciu Norbercie, jest też najwięcej siły i rzutów serca wspaniałych. Kraszewski z wielką subtelnością odcieni to oddał: ojciec to jedynie tych, którzy mają umierać i mimo sędziwego wieku jest w nim jeszcze pewna godność wyższa, która o resztkach życia w nim świadczy.

Ubóstwo swoje raz poznawszy, nie uwalnia się od niego podstępem. Nie chce, choć możność potemu-by była, przedłużyć istnienia sztucznie i nie prawnie podtrzymywanego.—„Synu! woła na księcia Roberta—Brańsk musimy opuścić... Inwentarze, ruchomości posprzedawać, żeby ubogim ludziom grosz nie zaległ... Niech nikt na nas nie płacze... Nie zjadajmy tego, co nie nasze...”

Wynosi się z dziećmi do dworku posiadanego w Lublinie, zapewne z tych czasów jeszcze, gdy się tam na sądy trybunalskie zjeżdżano, i dożywa cicho swego czasu.

Księżniczka Stella jest przy nim troskliwą, kochającą Antygoną „ofiara spokojna.” Księcia Roberta podobnie-by nazwać można i nad książki kartą ostatnią czytelnik mógłby zawołać — Ó!... jak mi smutno....

Kraszewski jednak uczynił z *Morituri* tylko pierwszy akt dramatu. *Resurrecturi* jest drugim. Tu już nie jest melancholiczna chwila zachodu słońca: tu już ono zaszło nad przeszłością, i wszedł dzień drugi, aby oświecić ruinę, a w niej starość samotną i młodość nieporadną. Sceną jest miasteczko położone w okolicy Puszczy Białowieskiej. Zawiechów, niegdyś ekonomia królewska z zamczkiem i przywilejami rozmaitemi, potem własność prywatna zamożnego senatorskiego domu

Horyszków, teraz przedstawia się w przemianie trzeciej. Miasteczko jest skarbowe; włości ekonomii pojedynczo rozprzedane lub pobrane przez wierzycieli, ze starego zamczku przerobionego w końcu XVIII wieku na pałac, jest już niemal ruina, a przy niej pozostał jedynie wielki ogród stary i taki szmat gruntu, ile go niegdyś Horyszkowie gracyalistom swym dawali — włók parę. Tyle się utrzymało przy rodzinie posiadaczy dawnych, i to jest ich kąt już ostatni, w którym, jak cień przeszłości, mieszka babka z dwoma wnucami—staruszka, której nie miałyby już co robić na świecie, gdyby nie wnuki po synie. Jest ich przy niej dwoje,—dwóch chłopaków młodych; wnuczka, może najdroższa jej sercu, Cesia, gdzieś daleko.

Poszła na swój chleb między ludzi, na pracę. Jest nauczycielką; dla grosza, dla zarobku starą babkę rzuciła, swoją młodość skazała na przykucie się do obowiązku trudnego, mozolnego, często ciężkiego bardzo, i wystawiającego na różne przejścia. Hor. szkółna... z senatorskiego domu panna... Al biedny pracować musi, aby na nędzę, na upadek ostatni nie przyszedł...

A nędza tu już prawie jest. W starym budynku ledwo kilka komnat zostało mieszkalnych, a i w nich ubóstwo, odrapanie, z niem brud, kurz, pajęczyna, piszcząca po ścianach starych murów: *Mane, Tekel, Ufarsin* czyli rozpadanie się w gruz, zrównanie z ziemią, nakoniec zniknięcie z powierzchni tej ziemi.

Starościna już słabnie nietylko fizycznie: wola, siła rządu, energia, która pozwala jeszcze coś ująć i w ręce ścięśnionej utrzymać, już ją odchodzi. Stara, wierna służka jedna krząta się koło pani dawnej, ale i ona już niemłoda jest, marudna, zmęczona: więc coraz to zwiększa się opuszczenie, rozszerza się ruina, zarasta chwastami biedy, wysiewającymi się na odłogach wszelkich. Z przyjaciół, którzy czasem zajrzą do staruszki, jest tylko ksiądz wikary z miasteczka i stary żyd, dawny faktor p. starosty Horyszki. Gdy wielka bieda, gdy Piotrosi braknie na wydatki domu z tego grosza, który miłosiernie przysłała staroście siostrzeniec, p. Marszałek powiatu, Bolesław,—jak go nazywa stara ciotka, myśląc o nim ze łzami wdzięczności w oczach, Piotrosia zwraca się do Szmula i ten pożyczka, bez procentu i w sekrecie, aby, broń Boże, nie brakło kiedy p. staroście kawy, cukru. Piotruskiej, zwanej przez staroście Piotrosią, chybaby wtedy serce pękło.

Lecz gdzież są wśród tego wszystkiego wnucowie? Chłopcy już dorosłe, po dwadzieścia parę lat mający?

W chwili, gdy się powieść otwiera, niema ich w domu—niema od tygodnia. Młodzi Horyszkowie mają trójkę koni, najteczankę i służącego Andruszka; że zaś w domu niema co robić, bo to nie dziewczyny, któreby siadły do igły, do siatki, więc po sąsiedztwach jeżdżą. Ludzie ich lubią, bo młodzi są i przystojni, przyzwocie układni; pamięta się też na dawne czasy Horyszków i proszą ich zwłaszcza do kawalerskich domów, więc w domu niewiele siedzą, bo cóżby wysiedzieli?

To pierwszy obraz po *Morituri* i gdzie tu, z kądem anioł jaki ogłosi *Resurrecturi*?

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NA RUINACH.

POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Sarneckiego.

(Dalszy ciąg)

Sypano złotem, aby drogie życie jedynaczki utrzymać... i Klarcia wegetowała, chociaż w kolbecie jeszcze przeszła silne zapalenie płuc, a su-

choty, łatwo mogące się rozwinąć w wązkiej i wklęsłej piersi, zagrażały jej ciągle. Dziecko żyło dzięki nieustającej walce, jaką przywiązanie rodzicielskie i wiedza lekarska wypowiedziały śmierci. Biedactwo jakieś chłopskie byłoby już dawno zmarniało, oddawna spoczęłoby na dnie glinianego dołu, w małej trumience, pod mogiłą cmentarną; ale pańska pociecha, chociaż słaba i delikatna, jak pajęczyna, broniona od wszelkich szkodliwych dla zdrowia wpływów, ile tylko sił i środków ludzkich starczyło, wyrastała wprawdzie wiotka, blada, ledwie trzymająca się ziemi, lecz sprytna, inteligentna i nad wiek rozważna. To też matka i ojciec pieścili i psuli dziewczynkę w zawody. Wszystko jej było wolno, aby się tylko strzegła przeziębiecia. Była regularnie piła tran i kozie mleko, byle ubierała się ciepło i zażywała w oznaczonych godzinach lekarstwa przyrządzone i podawane jej przez doktora, jak cień wraz z boną błakającego się za nią od rana do wieczora, mogła zażądać... choćby gwiazdki z nieba.

Są czasy, kiedy dzieci przychodzą na świat takie już odrazu rozsądne i wystudzone, jakby gdzieś w innym życiu przeszły szkołę doświadczenia, które nas starszych, tu dopiero na tym padole płaczu i rozczarowań, oblewając zimną wodą zawodów, ochłodziło w miarę.

Klarcia w podziw wprawiała swoim rozsądkiem. Przez myśl jej nie przeleciało zażądać gwiazdki, zawieszanej wysoko w ciemnym niebios szafirze. Na co?... Wszak nianka jej opowiadała, że z każdą wiąże się jedno życie ludzkie i leci, która odrywa się od firmamentu i leci w przestrzeń nieskończoną, ktoś umiera... A gdyby też własną wybrała?... Rodzice-by może dali, bo oni przecie równie, jak ona, nie wiedzą, która gwiazdka do Klarcii należy... Cóż wtedy?... Śmierć!... Ach! na samą myśl o tem dreszcz mroźny przebiegał po jej drobnem ciele. Nie, nie... lepiej kasłać, męczyć się, cierpieć.. ale żyć przy mamie i tacie, który tacy dobrzy i tak bardzo ją kochają! Ubierała się więc ciepło, piła tran i kozie mleko, spełniała wszystkie polecenia lekarza... bez skrzywienia się, bez kaprysu.

Liczyła zaledwie lat pięć, kiedy już i bajki nianiek o gwiazdkach przestały ją zajmować. Nie wierzyła im wcale. Tylko troska o swój byt zaprzętała jej umysł, rozwijający się nader szybko; tonęła przytem w pomroce ciągłej obawy. Z powodu prawie nieustannego rozdrażnienia nerwów skłoną była do omdleń, a lękała się ich bardzo, przekonana, że zgon poprzedzają. Widziała raz, jak zdychało kociątko malutkie, przez zdziczałą matkę opuszczone. Naprzód targały niem konwulsy; potem wyciągnęło się jak długie na darni wału zamkowego i, omdlewając, cicho usnęło. Serduszek czas jakiś kołatało jeszcze pod białym futerkiem... Następnie kołatać przestało. Klarcia położyła rączkę na martwym zwierzątku i aż odskoczyła przerażona. Kocię, przed chwilą ciepłe, wydało się jej teraz dziwnie, okropnie zimnem. O takim strasznym chłodzie nie miała pojęcia. Widok, jaki przedstawiał się jej oczom, napelniał ją trwogą; a jednak nie można było jej oderwać od miejsca, w którym leżały zwłoki biednego stworzenia. Bona, zaniepokojona milczeniem i osłupiałym wzrokiem panią, pobiegła po hrabinę. Zaledwie Klarcia matkę ujrziała, zwróciła się do niej z pytaniem:

— Czy i ze mną tak będzie, gdy umrę?

Pani Eleonora ze ściśniętym sercem, wzruszona do głębi, wzięła dziecko w objęcia, tuliła do siebie i pocałunkami okrywała bladą, zsiniałą twarzyczkę.

— Czemu mi nie odpowiadasz, mamo?

— Bo nie chcę, abyś myślała o tak przykrych rzeczach.

— Trudno nie myśleć, kiedy widziałam... kiedy się domyślałam, że i mnie to samo spotka.

— Ależ tobie nic nie zagraża.

— A dlaczego oboje z ojcem tak się o mnie troszczycie?

— Bo cię kochamy... bo nie chcemy opuścić naszego najdroższego dziecka, jak ta wyrodna matka, która porzuciła swoje kociątko i dlatego je utraciła.

— Wiem, że jestem chora i na śmierć skazana!

Zamilkła.

Nie płakała, ale cała utonęła w jakimś bolesnym zadumaniu. Pocałunki generalowej zamykały jej usta, nie usuwały jednak z główki czarnych rozmyślań.

Wspomnienie męczarni zgonu i owego okropnego chłodu, jaki wieje od trupa, wyrło się silnie w mózgu Klary i udręczało ją długo. Obraz zatarł się z czasem w pamięci, ale wrażenie pozostało głęboko w duszy i dolegało jak cierpienie fizyczne. Wszystkie bowiem czucia i wstrząśnienia moralne, oile ją zaniepokoiły lub przykro dotknęły w dzieciństwie, z biegiem dni przeobrażały się w jakieś ciemne tło, w jakąś ogólną żalobną barwę, w której myśl jej kapała się z upodobaniem, a jednak przy akompaniamencie dojmującego rozdrażnienia nerwowego. Nieprzeto, aby sama była ciągle smutną. Nie. Młodość brała górę tak nad osłabieniem ciała, jak nad szarym kolorytem poglądów rozpaczliwych. Uśmiechała się często i nieraz bawiła wesoło, zapominając o wszelkich zmorach przygniatających wątłe piersi; lecz wyobrażenia chorobliwa i spaczona ubóstwieniem, jakim ją otaczano, przedstawiała jej tylko postać własną, białą i świetlaną, wśród chmur ponurej rzeczywistości. Dopuszczała najwyżej, że generał i hrabia świecą także, jak księżycy, odbiciem jej blasków. Kochała ich... ale co to było za kochanie! Składały się na nie przede wszystkim: próżność i duma, łagodzone po części tylko odziedziczonymi po matce zarodkami dobroci i szlachetności — drzemiacami na dnie serca Klary, a budzącymi się niekiedy nagle i niespodzianie — oraz wychowaniem, pokrywającym wytwornymi formami szorstkość innych wrodzonych instynktów.

Kiedy nareszcie dziecko zmieniło się w podlotka, niezwykła zaczęła się z niej wytwarzać istota, pod każdym względem różna od rówieśnic i rówieśników. Chociaż z usposobienia wcale gwałtowna i żywa, rzadkokiedy unosiła się gniewem, a nawet uniośszy się, umiała nad nim zapanować. Wiedziała, że jest słabą, że potrzebuje ciągłej opieki, starań i pomocy: więc pomimo, że była bożyszczem domu, pomimo, że przypodobać się Klarci znaczyło to samo, co posiadać łaski jej rodziców, nie chciała odwoływać się do apellacyi i wojować z góry zapewnionym sobie przychylnym wyrokiem wyższej instancyi; wolała raczej sama pozyskiwać życzliwych wśród domowników i obcych, dzierżąc władzę przewodnią tylko we własnych rękach, bez czyjejkolwiek bądź interwencji.

Od domowników aż roilo się w zamku. Na dziesiątki liczone guwernantki, nauczycieli, rezydentów, gracyalistów i służbę. Faworytami Klarci zostawali ci tylko, co jej pochlebiali, i ci, co się przed nią płaszczyli. Pogardzała nimi, ale ich lubiła. Możliwość ducha rozpięła wazkie piersi dziewczynki. Sama była układną i grzeczną, lecz uprzejmość jej grzeszyła przesadą i nieszczerością. Czuć było, że, wymawiając ujmujące i pochlebne wyrazy, nie wierzy w nie zupełnie, lecz mówi — że użyjemy tu od przysłowia zapożyczonego zwrotu — aby wróbla złapać na plewy. Kupowała też ludzi słowami, jak inni kupują ich pieniędzmi, a w ograniczonej sferze wpływów i stosunków, w których królowała, przechodziło jej to niezmiernie łatwo. Używała wszelkich środków do zjednania sobie uznania i sympatyi, pokrywając pozorną dobrocią i słodyczą swoje... nie powiemy: samolubstwo, bo byśmy może wyrazili się zbyt ostro — lecz coś... coś... w rzeczy samej, bardzo do egoizmu zbliżonego.

Generał, który przepadał za córką, ale znał ją lepiej, niż hrabina — bo obserwował baczniej i uważniej — dostrzegł w tym projekcie na kobietę większą część wad własnych, tylko w miniaturowych rozmiarach i połączonych z pewnemi przymiotami tak spoicie, że istotnie potrzeba było bystrego oka, aby jedne od drugich systematycznie i właściwie odzielić. Nadto Klarcię otaczała pewna aureola poezyi i wdzięku, promieniająca zwykle z czoła istot słabych, zwłaszcza, gdy temi istotami są ładne panienki, a hrabianka — pomimo, że bardzo szczupła i mizerna — zapowiadała piękność co się zowie. Tej aureoli — z natury rzeczy — brakło ojcu, zwłaszcza, że sta-

ry cynik przyznawał się chętnie do swych ułomności, a nawet chełpił się niemi; Klara zaś z hipokryzją pełną naiwności umiała się maskować, szczególnie przed generalową, którą nazywała nawpół pieszczotliwie a nawpół irocznie: „mateczką błękitną.“ W przekonaniu małej realistki, błękit miał być kolorem i emblematem idealizmu, wyznawanego przez matkę. Zasmucić jej jednak nie chciała ani swojemi wyobrażeniami, ani swym sobkowstwem, bo to przedwcześnie a dziwacznie rozwinięte stworzenie kochało panią Eleonorę poswojemu, ale rzeczywiście, całem rozdrażnieniem wydelikacyonnych nerwów i odrobiną prawdziwego uczucia, tlejącego na dnie chorego serduszka.

Gości z wielkich miast przybyłych, w odwiedziny do zamku i sąsiadów z okolicy odurzała i zachwycała grzecnością obleśną. Obsypywała ich tysiącami komplementami, od których doprawdy można było dostać zawrotu głowy. Pochlebiała w oczy bez zarumienienia, ale zaledwie okadzony w ten sposób czczemi wonnościami francuzko-bizantyńskiej frazeologii odwrócił się w inną stronę, wskakiwała ojcu na kolana i szczyła bez miłosierdzia z tego właśnie, co przed chwilą wynosiła pod niebiosa. Trudno wyrazić, jak hrabia za to córkę kochał. Zwał ją pofrancuzku: *mon diabolin adoré*; a popolsku: „swoim szatankiem ukochanym.“ W tej namiętności rodzicielskiej — bo miłością podobnego uczucia nazwać nie podobna — było coś piekielnego i zwierzęcego zarazem.

Klarcia, pomimo że ciągle osłabiona, uczyła się z niezmierną łatwością wszystkiego, czego ją mogli nauczyć guwernerowie, guwernantki i rodzice. Nadto w główce swej, z własnych obserwacyj, tworzyła kolekcję wiadomości o życiu, którego nie pojmowała wcale; bo komu się ono przedstawia czarnem tylko, ten go stanowczo nie rozumie. Czerpała także wiedzę z książek, branych potajemnie z biblioteki i czytanych ukradkiem. Otoczona zewsząd przeszłością, starożytnością, archeologią, lgnęła mimowiednie do wszystkiego, co nowe, świeże, nowoczesne... więc też i do dzieł tylkoko wydanych, ostatnich. Tom zapyłony, zszarżany, lub oprawny w skórę czy pergamin, nie miał dla niej najmniejszego uroku; za to, na widok różowych i blade-żółtych okładek, wyszłych świeżo spod pras drukarskich, o czy jej czarne — niezbyt duże, ale żywe i myślące — zapalały się żądzą, jaka błyszczy we wzroku nałogowego pijaka, przyglądającego się flaszom z napojami, wystawionym w oknach szynku. Przy pierwszej lepszej sposobności, kiedy wiedziała, że nikt jej podpatrzyć nie może, chwytowała książkę z bibliotecznego stołu i składała ją na nim dopiero, po pośpiesznem przeczytaniu. Umysł jej w pewnym kierunku odniósł ztąd korzyść, bo bądźco bądź kształcił się, oglądał i wprawiał w ocenianie sztuki pisarskiej, tak wysoce dziś w technice swej posuniętej; lecz lektura podobna — jak dla tak młodej osoby, moralnie niezdrowa — utwierdzała ją w przekonaniach, wytworzonych przez fałszywie pojęte wrażenia zjawisk życiowych, przez złe skłonności dziedziczne i fatalny wpływ pobłażania i pieszczot pana Augusta, rozkochanego w jedynaczce, a zwłaszcza w jej niezwyklej i olśniewającej go inteligencyi. Zasklepiony w dumie rodowej i w najciaśniejszych wyobrażeniach konserwatywnych (w ujemnem i niskiem znaczeniu tego wyrazu), podziwiał, z kąd Klarcia bierze śmiało i jaskrawe sądy o rzeczach ludzkich. Wprawdzie tchnęły one nowoczesnością... lecz poniekąd godziły się z cynicznym na świat poglądem hrabiego. Męty postępu zwykle podobnemi bywają do mętów reakcyi... Dziewczynka, nierozumiejąc nieraz zupełnie tego, co czyta, czytywała jednakże przeważnie śmietankę... chciałem powiedzieć.. szumowiny francuzko-kosmopolitycznego zwątpienia i pesymizmu, zabarwionego liberalizmem — wistocie — wielce podobnym do generalskiego konserwatyizmu. Zyskiem ztąd otrzymanym była migotliwa i błyszcząca frazeologia, stratą zaś — nieobliczoną w swych smutnych następstwach — wynarodowienie ducha i spokrewnienie myślowe z obcemi, najwstrętniejszemi nam ideałami.

Ztąd także, nawet jej miłosierdzie nosiło na sobie odrębny charakter. Czerpiąc pełną dło-

nią z kassy rodziców, dawała jałmużny i wsparcia na prawo i lewo, ale rzadko kiedy rzeczywiście cierpiącym i nieszczęśliwym. Ofiarami jej kierowała fantazyja, czasem współczucie podrażnionych nerwów, a niekiedy — co najohydniejsze — własny, mały, dziecinny interes. Zpod strzechy ubogiego, chorego wieśniaka, wychodziła wprawdzie wzruszona i smutna — bo mówiliśmy już, że coś szlachetnego mimowolnie tętniło w jej sercu — lecz nie pozostawiała w chacie takich datków, jakimi często — w przystępie dobrego humoru — sypnęła hojnie któremuś z pieczeniarczy rezydujących w zamku; bo od tych potrzebowała przysług rozmaitych, bo oni dogadzali wszystkim jej zachceniom, bo łasili się i schlebiali jej nikczemnie.

O nędzy wogólności miała najgorsze wyobrażenie; a to w zupełności zawdzięczała hrabiemu, który całą *canaille* ludową brzydził się więcej, niż pogardzonymi, ale bawiącymi go pasażerami.

Rozmowy ojca z córką — na ten temat prowadzone — budziły odrazę i oburzenie.

Pewnego ranka doniesiono do zamku, że młynarz naprawiający gontowe pokrycie na młynie — położonym w jednym z odleglejszych siód do kłuczca bereznickiego należącego — spadł z dachu i rozbił sobie głowę.

Dzień był letni, pogodny... Zdrowie Klarci wymagało przejażdżki. Pani Eleonora zaopatrzyła więc kieszonki dziewczęcia w pieniądze, dopilnowała, żeby panienkę ubrano ciepło, kazała zaprządź do wygodnego odkrytego powozu i wysłała córkę do młyna, przy odpowiedniej assekuracyi służby żeńskiej i męskiej, cieszącej się zaufaniem pani.

Generał wiedział o wyprawie i oczekiwał na powrót jedynaczki z niecierpliwością.

Skoro ujrzał kocz powracający i spuszcający się ku kamiennemu mostowi po pochyłej skalistej drodze — jasną wstęgą przerywającej ciemne tło dąbrowy — wyszedł na powitanie pieszczoszki.

Klarcia, zaledwie go dostrzegła, kazała drzwiczki od powozu otworzyć i wysiadła.

— Cóż? — pytał hrabia, biorąc ją pod ramię — jakże się powiodła dobroczynna missya?

— Harasym prawdopodobnie jutra nie dożyje.

— Kto ci to powiedział?

— Doktor.

— Był tam?

— Mateczka, jak zawsze błękitna, wysłała go przede mną. Wyruszył wcześniej i jechał konno, przez pola, więc mnie wyprzedził.

— Czy istotnie doktor stwierdzi, że Harasym umrze?

— Czaszka pęknięta... Tego nikt nie skle! — szepnęła Klarcia.

Widocznie powtarzała zasłyszane wyrazy. Trzęsła się jak w febrze i dzwoniła zębami, bo myśl o śmierci zawsze ją przejmowała obawą.

— Wzruszył cię ten widok?

— Rozdrażnił!... Lekarz mi dał jakichś kropli na uspokojenie nerwów.

— Ale teraz czujesz się lepiej... Wszak tak?... powiedz... nic ci nie dolega? — pytał generał zatrwożony, obejmując ramieniem kibić dziewczynki.

— Nic mi nie jest obecnie... Mogę spokojnie myśleć i zastanawiać się, a to dla mnie rzecz najważniejsza. Sama się dziwię, jak umiem łatwo ochłonąć i odzyskać utraconą równowagę, choćby po najprzykrzejszych wrażeniach.

— Zachwycam się twoją zimną krwią i cieszę się, żeś taka rozsądna — rzekł hrabia, uśmiechając się i patrząc w oczy Klary.

W uśmiechu tym było może trochę ironii i sceptycyzmu; przeważało jednakże uczucie uwielbienia i przywiązania bez granic.

Po chwili zapytał znowu:

— Prawda, że Harasym musiał sam dać powód... że sam był winien nieszczęściu?

— Pośliznął się, chodząc po mchem porośłych gontach... W nocy deszcz padał... Mech długo w sobie wilgoć zatrzymuje... Poprostu, przypadek!

— Przypadek!.. przypadek!.. Musiał być pijany.

— Kto wie?... może papa ma słusność. Mówił

od rzeczy, bredził... Wprawdzie doktor wspominał coś o gorączce...

— Ręczę ci, że się upił.

— Może. Wysłałem prędko z chaty... duszno mi było i... przykro. A jednak tak wszystko dobrze widziałam i tak każdy szczegół pamiętam, że mogłabym namalować... nie... opisać. Tak, tak... raczej opisać... bo słowo wierniej maluje od pędzla.

W głosie jej dźwięczał jakiś dyssonas, jakby resztki wzruszenia klóciły się ze spokojem myśli, upatrującej teraz, w tragicznym wypadku — przez pryzmat wspomnień — tylko obraz ciekawy, a nie ogrom niedoli, wprawdzie zwykłej i prostej, lecz zarazem prawdziwej i żalosej.

— Dałaś pieniądze?

— Dałam... żonie. Wcale nie zasmucona, chociaż czworo dzieci ją otacza... Sam drobiazgi! Chyba nie zdaje sobie sprawy...

— Zapłacze na pogrzebie, według zwyczaju... Obecnie zaś, cieszy się przedewszystkiem, że pozbędzie się próżniaka i że wyjdzie za mąż za innego...

— Więc ci ludzie nic nie czują?

— Bardzo niewiele: głód, pragnienie, zimno... jak zwierzęta.

— Wszakże i my jesteśmy zwierzętami, tylko uszlachetnionymi przez cywilizacją.

— Daruj; my co innego. Nas uszlachetniła i nad poziom wyniosła: krew i rasa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## RUCH MUZYCZNY

Nareszcie doczekaliśmy się stowarzyszenia śpiewackiego, na wzór istniejących tak powszechnie zagranicą. Przed świętami odbył się pierwszy, inauguracyjny koncert „Lutni“, na którym publiczność miała się zapoznać z tą młodą korporacją. Sympatya ogółu od razu została zdobyta, publiczność, złożona przeważnie ze sfer literackich i artystycznych, nie szczędziła zachęty w objawach swego zadowolenia, a radosne uczucie, powstałe na widok dzielnego zastępu śpiewaków, rosło z każdą chwilą. Programmat składał się z następujących chórów: „Do pieśni“ Dembińskiego, „O cóż się zadumała“ i „Jagódki“, z pieśni ludowych: „Bartek i Cietrzew“ Moniuszki, „Sen“ preluda Szopena, „Nocturne“ Studzińskiego, „Z łak i pół“ Niewiadomskiego, i „Walc“ z akkompaniamentem fortepianu, Pankiewicza. Słuchacze jednak nie poprzestali na tem i nieustającymi oklaskami zmusili koncertantów do śpiewania nad program; usłyszeliśmy zatem jeszcze „Piosnkę o żołnierzu“ z tematów ludowych, która swą wdzięczną, niepretensjonalną formą i dowcipnem cieniowaniem, dopełniła miary zachwyty. Założycielem i dyrygentem „Lutni“ jest dobrze nam wszystkim znany, młody a zdolny artysta pan Piotr Maszyński; on to, z energią godną pochwały, tak dobrze się zakrzętnął, że na wzór Mefistofila z piasku bicz ukreślił. Pierwszy ten koncert zaświadczył nam, że te kilka miesięcy pracy wspólnej Lutniści dobrze spożytkowali; jeśli tak dalej pójdzie, to Warszawa będzie mogła poszczycić się w niedalekiej przyszłości jednym z celniejszych chórów męzkich. Obecnie w drużynie tej znać już karność i wiarę w dyrekcyę, co jest rzeczą niezbędną w tego rodzaju stowarzyszeniach; inaczey śpiewacy nigdy by nie umieli zastosować się ściśle do podawanej im sygnalizacyi; tak zaś śpiew idzie rytmicznie, cieniowanie odbywa się zgodnie z wolą dyrygenta. W brzmieniu głosów ogólnie biorąc, czuć świeżość, młodość i zapał, że *con amore* zabrali się do pracy. Czego jeszcze Lutniści nie zdobyli, to czasami zdobydą, a nam wolno mieć tę nadzieję, albowiem mocno wierzymy w kompetencyę dyrygenta i w dobrą wolę śpiewaków. W koncercie Lutnistów przyjęli również udział: panna Jadwiga Iwanowska, jako deklamatorka, oraz panowie: Michałowski, Adamowski i Pankiewicz.

W tymczasem czasie bawił w przejeździe z zagranicy, kwartet wokalny „szwedzki“. Śpiewaków jest sześciu, dwa tenory pierwsze, jeden drugi, jeden bas pierwszy i dwa drugie. Komplet ten śpiewa bez dyrekcyi; pod względem dokładności może jednak służyć za wzór, do jakiej doskonałości doprowadzić się da śpiew zbiorowy. Te sześć głosów wywołują efekta, w których wszelkie odcienie najdelikatniejsze są pojęte tak zgodnie, że mogłoby się zdawać, iż to instrument jakiś, jedną wolą kierowany, te dźwięki wydaje. Czystość intonacyi, najobszerniejsze stopniowanie siły, natychmiastowość uderzonych akkordów, rwanie ich lub, odwrotnie, przetrzymywanie: wszystko to odnaleźć można, posunięte do najwyższego stopnia. Przytem kwarteciści znakomicie się dobrali pod względem brzmienia głosów; tak umiejętnie i swobodnie władają niemi, tak każdy ze śpiewających rozumie, oile w danej chwili powinien się dać słyszeć, aby nie szkodzić całości wykonania, że zdumiewać się potrzeba nad ogromem pracy, która jedynie tylko mogła wyrobić taką jednolitość, zarówno w technice wykonania, jako też i w interpretacyi ducha kompozycyi. Kwartet szwedzki jest zjawiskiem bodaj jedynem w swoim rodzaju.

W połowie Marca, na scenie teatralnej i w Towarzystwie Muzycznym, występował pan Karol Dawydow, wiolonczellista dworu St. Petersburgskiego i były wieloletni dyrektor tamtejszego konserwatorium. Pan Dawydow jest jednym z najcelniejszych wiolonczellistów obecnej chwili. W grze jego jednoczą się wszystkie zalety skończonej techniki wirtuozowskiej, z gruntownem wyższem wykształceniem artysty. Na jednym z tych występów, w wykonaniu własnego koncertu, przedstawił się równocześnie, jako kompozytor i jako wirtuoz. Dzieło to napisane w szlachetnym stylu; ma wiele oryginalności i wdzięku; kantylena szeroko się rozwija, zarysowując w śmiałych konturach całą budowę formy, a brawurowe przejścia świadczą o gruntownej znajomości natury instrumentu i wymagań techniki. Drugą własną kompozycyę, którą zaprodukował Dawydow tego wieczora, była fantazyja „Am Springbrunnen“ powiewna, tryskająca iskrami błyskotliwych passaży; jako rzecz charakterystyczna zbiega się z wielu podobnymi utworami, których głównym celem jest popisowa strona techniki, bez pretensyi do stanowiska dzieła poważnej sztuki. Z dzieł innych kompozytorów usłyszeliśmy „Aryę“ Bach'a wykonaną z prawdziwym przejęciem się i wykończeniem znakomitem, zaś „Nocturne“ Szopena zaświadczył o pięknym tonie gry koncertanta i głębokim a rzewnem uczuciu.

W Towarzystwie Muzycznym odbył się koncert benefisowy pana Zygmunta Noskowskiego. Przyjęli w nim udział, oprócz chórów i orkiestry, panie Vincenti i Iwanowska, p.p. Cieślowski, Oskar i Tomaszewski. Pani Vincenti posiada bardzo piękny i rozległy skali głos, lecz jest to jeszcze surowy materiał, króry wyrobić i uszlachetnić wypada; nie wiemy jaką szkołę śpiewaczka ta przechodziła, prawdopodobnie jednak zamało jeszcze pracowała, a szkoda, bo warto. Programmat koncertu mógł zadowolić rozmaite gusta, zawierał bowiem i dzieła poważne, jako to: „Serenadę“ Volkman'a, wykonaną bardzo paprawnie przez orkiestrę, i koncert fortepianowy Saint-Saëns'a, jak również i z lżejszych dzieł, pieśni, arye i deklamacye. Szczególnem jednak powodzeniem cieszył się młody deklamator, p. Tomaszewski, który umiejętnie zaakcentowanym komizmem wypowiedzianych wierszy, pobudził ogół do szczerzej wesołości.

We Czwartek Wielkiego Tygodnia, Towarzystwo ofiarowało swym członkom koncert złożony z samych dzieł treści religijnej. Najpierw więc wykonano wspaniałe „Requiem“ Moniuszki, na głosy solowe, chóry, orkiestrę i organ; dalej, panna Dowgird, kontralt, zaśpiewała bardzo dobrze arye z oratoryum „Jefta“ Haendla, pan Cieślowski zaś arye z oratoryum „Elias“ Mendelssohn'a: Część drugą koncertu zapełniło wielkie dzieło Emmanuela d'Astorga, „Stabat mater“. Na wykonanie jego złożyły się: orkiestra, chóry, organ i soliści, panie: Marszałkowska, Dowgird, oraz panowie Cieślowski i Niedźwiedzki. Wy-

konanie szłoby składnie, gdyby orkiestra i soliści, przez brak dostatecznego przygotowania się, nie paraliżowali usiłowań dyrygenta. Pan Rzepka akkompaniował na bardzo pięknych organach pochodzących z fabryki p. Blomberga, który bezinteresownie użyzył ich Towarzystwu.

Juljusz Statler.

## Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Marcu 1887 r.

Odczyty Towarzystwa Pedagogicznego. — Odwołane odczyty Spasowicza i zapowiedź przyjazdu Henryka Sienkiewicza. — Roman książę Czartoryski. — Wiadomość o zgonie Kraszewskiego — Wystawa obrazów z wojny Bułgarsko-Serbskiej Antoniego Piotrowskiego. — Wydawnictwa księgarni K. Łukaszczyka: „Biblioteka rodzinna.“ — Ważne Zgromadzenie Czytelni kobiecej.

W wielkim poście rozpoczęły się, jak zwykle co roku w tej porze, odczyty Towarzystwa Pedagogicznego dla kobiet. Programmat ich różni się znacznie od dawniejszych. Gdy bowiem przedtem obierali sobie prelegenci przeważnie przedmioty do wykładu z nauk przyrodniczych, tak jakby dziedzina przyrodoznawstwa była specjalnością wiedzy kobiecej, programmat wykładów tegorocznych składa się wyłącznie niemal z przedmiotów należących do zakresu nauk humanitarnych, prawa narodów, historii i sztuki, a tylko prof. Ciesielski mówił o bakteryach, opisując przystępnie wyniki najnowszych badań w tym przedmiocie. Gorliwsi zwolennicy przyrodoznawstwa potępiają tę zmianę kierunku w wyborze przedmiotów objętych odczytami Towarzystwa Pedagogicznego. Na co, powiadają, przydadzą się kobiecie takie rzeczy jak kwestye zasadnicze prawa międzynarodowego lub idealne poglądy historyzoficzne na przebieg dziejów ludzkości? Przyznajemy, że zdania takie nie przemawiają do naszego przekonania i żeśmy programmat wykładów tegorocznych Towarzystwa Pedagogicznego z wielkiem powitalnym zadowoleniem. Dla czegożby wiedza kobiety, mającej być, nietylko gospodynią domu, ale także matką i obywatelką, miała się tylko na jednej ograniczyć sferze, tak, iżby jej prawie ciągle tylko o mięczakach, skorpiaćkach, mgławicach i t. p. kiedy tyle nasuwa się ważnych zadań naukowych i społecznych, ściśle z powołaniem kobiety związanych? Dobrze jest właśnie, że wykłady popularne, będące niejako uzupełnieniem nauk szkolnych, zaznajomią kobietę z zasadniczymi pojęciami tych nauk i umiejętnościami, których w szkołach żeńskich albo wcale nie ucza, lub tylko bardzo powierzchownie. Jak można przystępnym i zajmującym uczynić najpoważniejszy przedmiot, najmniej, jakby się zdawało, mogący obchodzić pleć żeńską — dowiodły ostatnie dwa odczyty prof. Roszkowskiego, który mówił o *sądach polubownych w prawie międzynarodowem*. Przy gruntownej wiedzy i talencie krasomówczym, treść sucha pozornie, bo ściśle naukowa, ożywia się, i rozciekawia słuchacza. Począwszy od najodleglejszej starożytności, od sądu greckich amfiktyonów, przeszedł prelegent wszystkie w ciągu dziejów pomysły i sposoby, w teorii i praktyce różnemi czasy podnoszone i w życie, z większym lub mniejszym skutkiem, wprowadzane, celem zażegnania klęsk wojny przez godzenie sporów międzypaństwowych drogą pośrednictwa polubownego, bez naruszenia udziałności państw takiemu sądowi się poddających. Wykazawszy, jakie przeobrażenie politycznych stosunków europejskich stworzył Traktat Westfalski, skreślił stanowisko pentarchii mocarstw, oparte na systemacie równowagi politycznej, a nakoniec rozwiódł się szerzej nad wprowadzonymi w wieki bieżącym, doborownie w razie zachodzących sporów przez państwa spór toczące, obieranymi *sądami polubownymi*, których działanie okazało się bardzo skutecznem. Mówiąc o sprawach międzynarodowych, niedających się

załatwiać drogą sądu polubownego, wypowiedział prof. Roszkowski wiele prawd wzniosłych, zasadniczych, odnoszących się do bytu i honoru narodów. Mówił z przejęciem i uczuciem, udzielającem się całemu gronu słuchaczy, i z niezwykłą potocznością swady, która wykład uczyniła jasnym i przekonującym.

Historyozofia to także przedmiot niewiążący się treścią z powszedniemi zajęciami kobiecimi. A przecież skoro historia ma być *mistrznią życia*, i znać ją powinien zarówno mężczyzna jak kobieta; dobrze jest dla należytego zrozumienia toku wypadków, zwiazać je nicią pewnej przewodniej myśli, i objąć ogólnym poglądem ze stanowiska zasadniczego, aby pożyteczną na przyszłość wyciągnąć naukę. Objasnić w ten sposób dzieje nasze ostatniego stulecia, a raczej przedstawić treściwie zasady historyozoficzne naszych najwybitniejszych w tym okresie dziejopisarzy, przedsięwziął p. Tadeusz Rutowski w ostatnim swoim wykładzie. Zadanie to trudne, aby rzecz taką uczynić przystępną i zajmującą dla koła słuchaczy, nieprzyzwyczajonego do ściśle umięjętnych badań i wywodów filozoficznych. P. Rutowski rozpoczął od scharakteryzowania dziejopisarzy Epoki Stanisławowskiej i Towarzystwa Przyjaciół Nauk, od Naruszewicza, Czackiego, Niemcewicza. Skreślił następnie szkoły historyczne przeciwnych sobie kierunków, konserwatywno-monarchiczną i demokratyczno-republikańską, której głównym reprezentantem i orędownikiem we wszystkich swych dziełach był Lelewel. Wykazał stanowisko Szujskiego w naszym dziejopisarstwie, jako obrońcy zasady monarchicznej, i Kalinki, który kamieniem węgielnym potęgi państw uznawał dobrze prowadzoną dyplomacyę. Nakoniec podniósł Korzona, który pomysłość dziejowego rozwoju, jako cel ostateczny, opiera na wyrobieniu własną pracą sił ekonomicznych i społecznych, z którym-to poglądem zgodził się także prelegent.

Mieliśmy zapowiedziane dwa odczyty Spasowicza *O Mickiewiczu i Puszkynie*, a publiczność zaciekawiona treścią rozebrała już znaczną liczbę biletów wstępu, gdy nadszedł telegram z Krakowa, donoszący że Spasowicz, przyjechał do Lwowa nie może, z powodu otrzymania wiadomości skutkiem której zniewolony był zmienić plan podróży. Obecnie zarząd tutejszego Towarzystwa Kółek Rolniczych spodziewa się przyjazdu Henryka Sienkiewicza, który przyrzekł zbroczyć z Krakowa, gdzie jest obecnie, do Lwowa, i mieć tutaj dwa odczyty, podobno o swej podróży na wschód. Czy nie zajdzie także nieprzewidziana jaka przeszkoda, niedozwalająca mu, podobnie jak Spasowiczowi, dotrzymać przyrzeczenia, tego nie wiem; ale to pewna, iż byłby to wielki zawód dla tutejszej publiczności, która wiadomości o zapowiedzianych odczytach głośnego powieściopisarza, przyjęła, rzecz można, z prawdziwym entuzjazmem.

W zeszłym miesiącu umarł w wsi, w Jabłonowie, książę Roman Czartoryski, jeden z najzamożniejszych obywateli kraju. Z urodzenia i majątku zajmując wysokie stanowisko, wyżej o wiele jeszcze stanął w czci ziomków zacnością charakteru, i szlachetnością pojęć, której dowody dawał całym swym postępowaniem. Przeniósłszy się przed laty dziesięciu z Wielkopolski do Galicji i uzyskawszy obywatelstwo tutejsze, rozpoczął gorliwie pracę we wszystkich następujących się kierunkach na polu spraw publicznych. W sejmie należał do grona najbardziej wpływowych posłów, chociaż nie przemawiał w Izbie, ale w komisjach i klubach sejmowych wiele ważył głos jego i zdanie mające zawsze za główny cel dobro kraju i społeczeństwa, a zwłaszcza ludu wiejskiego. Należał on do wszystkich w tym kierunku podjętych usiłowań około rozpowszerechnienia oświaty i społecznego umoralnienia ludu, a wielu był sam inicjatorem. Pilnie zajmował się sprawami Towarzystwa Kółek Rolniczych, zakładaniem czytelników ludowych, pracował gorąco nad pojednaniem zwaśnionych żywiołów społecznych, a dążności te jego były pożądanym uwiecznionym skutkiem; albowiem umiał, jak może nikt inny, jednać sobie wszystkie serca i przekonania; gdyż szlachetne przymioty duszy i szcze-

rość postępowania podbijały dłań wszystkich. Był też delegatem na okręg husiatyński Towarzystwa Gospodarskiego, a przez czas jakiś także prezesem lwowskiego *Koła Literackiego*. Jakim był obywatelem, dosyć będzie przytoczyć jeden szczegół, wymowniejszy sam przez się, niżeli wszystko, coby o tem można napisać. Gdy przed kilku laty ówczesny marszałek kraju, Zyblikiewicz objeżdżał wschodnie powiaty Galicji dla rozpoznania bliżej stosunków miejscowych, wstąpił też do Jabłonowa w odwiedzinach do księstwa Czartoryskich. Tak tu, jak wszędzie, gdzie się marszałek zatrzymywał, przybyły gromady z dobrami dla powitania go, jak nakazuje obyczaj, chlebem i solą. Po zwykłych w takim razie przemówieniach marszałek, dziękując za przywitanie, wezwał zgromadzonych ażeby mu objawili swe potrzeby, i zapytał: czy nie mają jakich spraw do załatwienia w wydziale krajowym, a on uczynił dla nich wszystko, co tylko będzie można.

Na to wystąpił najstarszy wieśniak, naczelnik gminy i z dobroduszną odrzekł otwartością:

— Dziękujemy Jasnie Wielmożnemu Marszałkowi za jego dobroć—*ale my nic nie potrzebujemy*; bo jak nam tylko czego potrzeba, to udajemy się do naszego kochanego księcia dziedzica, a on nam zawsze pomoże i na wszystko poradzi.

Piękniejszego, zaiste, świadectwa cnoty obywatelskiej nikomu dać nie można.

Więść o zgonie Kraszewskiego przyjęto tu z powszechną, tak jak wszędzie, żałobą. Na gmachu im. Ossolińskich, w Kasynie miejskiej, w Kole Literackim, w Stowarzyszeniu Młodzieży Handlowej i kilku innych, wywieszono czarne chorągwie, a w dzień pogrzebu także z ratusza. Rada miejska i Czytelnia Akademicka, których zmarły był członkiem honorowym, tudzież Macierz Polska, urządzają kolejno za duszę jego uroczyste egzekwie.

(Dokończenie nastąpi).

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 25 Marca 1887 r.

Śmierć Kraszewskiego. — Wspomnienie osobiste. Debita Lacyra. — Śmierć w Paryżu. Paweł Féval. — Jego zwrot do religijności. — Uspokojenie. — Rysownik Gaillard w klasztorze franciszkańskim. — Wielkie przykłady. — Okrutne zamordowanie trzech kobiet przy ulicy Montaigne. — Poszukiwania policyjne. — Wystawa akwarelistów doroczna. — Pani Magdalena Lemaire i Détaillé. — Nowa książka: „Histoire d'une Grande Dame au XVIII Siècle”, przez Perey'a.

(Dokończenie).

Przewróćmy jeszcze jedną kartkę, a ten posępny obraz morderstwa zastąpi natychmiast cały ciąg jasnych pięknych i zachwycających obrazów, z wystawy akwarelistów francuzkich. A! w tym przynajmniej względnie mogą oni śmiało walczyć o lepsze z całym światem. Nietylko doskonałość rysunku, ale spryt, ale dowcip wcielony w każdą pociągnięcie ołówka, nietylko przejrzystość, powietrzna prawie, kolorytu, ale jego harmonia i siła stosunkowa, nietylko wierne naśladowanie natury, ale i wybór przedmiotu najmilszy dla widza: oto są ich zalety i przymioty.

Jak zawsze, są to ciżsami mistrze w tej sztuce, tak czysto francuzkiej. Dałem już wam dawniej sposobność poznać z nich wielu; dziś zatrzymam waszą uwagę na dwóch nazwiskach, a nawet, ażeby odpowiedzieć całkowitemu przekonaniu mojemu i upodobaniu wyłączonego, zajmę się tylko jednym. — Jest to nazwisko kobiety, która daleko za sobą zostawiła współzawodników swoich i prawdziwie zasłużyła sobie na miano mistrza. Mówię tu o tejsamej pani Magdalenie Lemaire, którą zajmowałem się tu niedawno, z powodu zbrodniczego zamachu na jej dom.

Jakgdyby chcąc naprawić poniesione straty, pani Lemaire na tej wystawie, zajęła poważne miejsce, nietylko co do ilości, ale i co do jakości

obrazów. Owoce i kwiaty, w których jest niezrównana mistrzynią, ilustracye do powieści *L'abbé Constantin*, Halevy'ego: to cały szereg czarujących prawdziwie produkcji. Lecz jeśli, co do tych ostatnich ilustracyi, mógłbym wyrazić pewne zastrzeżenia ukryte, głębsze, może nawet moje, zbyteczne w tej mierze, zachcianki—to co do owoców i kwiatów — „kłękajcie narody!” Truskawki, cały kosz wywrócony, jakby na pokusę, jest to arcydzieło, powiadają mi, że już zapłacone—dziesięć tysięcy franków! Coś jakby 50 franków za jedną truskawkę, bo nie zdaje mi się, aby ich było więcej nad dwieście. Ale powiedzmy zaraz, że ten kto mógł zapłacić podobną cenę, piękny zrobił użytek z podłego złota, za które dostał całą duszę artystki. Po pani Lemaire możnaby szeroko pomówić o żołnierzach pana Détaillé'a; ale o tem mówiłem dosyć w swym czasie. Znacze też zapewne jego wydanie *L'Armée Française*, i wiecie, jakie są jego niezrównane w tym względzie zalety. Możemy więc przejść do książek.

Pamiętam, że drogi i nieodżałowany mistrz nas wszystkich Kraszewski, w jednym ze swych listów z zagranicy pisanym, zdaje mi się już z San Remo, z wielką pochwałą mówił czytelnikom „Bluszczu” o młodości i ostatnich chwilach pani d'Epina, przez Lucyana Perey'a. Jak wszystko, co wyszło z pod pióra naszego mistrza, to ocenię francuzkiego pisarza nosiło na sobie cechę, czystego i jasnego sądu, który zwykł prowadzić czytelnika, dając mu na każdym kroku sposobność ocenić bardziej to, co piękne i zacne, niż tracić czas nad dyssekeją wad i niedostatków książki. Tak się stało i z owem dziełem p. Perey'a. Czytelnicy pamiętają zapewne o oddanych pochwałach, bardzo słusznych zresztą i trafnych, słusznych tembardziej, że się one należały kobiecie, o czem wówczas nie wiedział Kraszewski, bo jestem pewien, że wyżej jeszcze daleko byłby podniósł zasługi autora.

Tak jest, w rzeczy samej, ów p. Perey, jest to pseudonym, który ukrywa prawdziwe nazwisko panny Herpin, Szwajcarki rodem, osiadłej od dawna w Paryżu i znanej zaszczytnie, choć pod skromnym pseudonimem „Perey'a.” Panna Herpin nie jest to osoba pierwszej młodości, a że na jej chrzcie nie byłem, ograniczę się do tego ogólnika, bo płcią piękną należy być grzecznym. W obcowaniu jest bardzo przyjemną, a w pracach swoich literackich zdaje się, że znajduje pomoc w młodym swoim synowcu, czy siostrzeńcu, dobrze już nie wiem. Ma bardzo dobre stosunki z rodziną pana Caro, o którego powrocie wśród najpiękniejszej części *high life* paryżkiego, mówiono już dosyć. Tyle tymczasem o autorze, zobaczmy dzieło.

Nowa książka, zawsze tego p. Perey'a, nosi tytuł *Histoire d'une Grande Dame au XVIII Siècle*. Miała ona wielkie tu powodzenie: a zawdzięcza je najpierw temu, że jest bardzo ciekawą co do swej treści, a następnie, że jest dobrze napisana i zręcznie i przyszła w sam moment psychologiczny, bo opowiada historią jednej z księżnych de Ligne, właśnie w chwili, kiedy znowu jeden z ich potomków żenił się tu Paryżu z córką słynnej pani de Trederne. Książka była na czasie i, jak powiadam, miała wielką wziętość.

Dla nas ta książka jest ważna i ciekawa, z powodu, że wielka pani, której dotyczy, jest to Polka, księżniczka Massalska, córka Józefa, Adryana, Podskarbiego Nadwornego Litewskiego i księżniczki Radziwiłłówny, siostry księcia Mikołaja ordynata kleckiego, wnuczka księcia Michała-Józefa, Hetmana Wielkiego Litewskiego, a synowica słynnego, niewesołej pamięci, Biskupa Wileńskiego.

Helena Massalska po śmierci ojca podskarbiego, który ją odumiał w latach dziecięcych, wraz z bratem swoim Xawerym, została pod opieką ks. Ignacego Biskupa Wileńskiego.

Po niepowodzeniach konfederacyi barskiej, ks. biskup, emigrując do Francji, zabrał z sobą dzieci powierzone jego opiece—i tu w Paryżu obmyślił dla nich środki wychowania, z tą lekkością i rozrzutnością, które były głównymi rysami jego charakteru.

Autorka daje nam dokładny bardzo obraz wy-

chowania księżniczki w zakładzie klasztornym, znanym wówczas pod nazwiskiem „L'abbaye-aux-Bois”, o wychowaniu zaś jej brata, wspomina tylko, kończąc to wspomnienie, następującą wzmianką:

„Chłopiec, mający zaledwie lat siedm, osiercony z chwilą przyjścia na świat, szczupły i delikatny, miałby być potrzebę ciągłych starań i troskliwości matki. Zamiast rość w siłę, upadał na zdrowiu, zostawiony sam sobie, albo karcony, przez pomocnika swego guwernera, głupiego i brutalą; wspomagany w swych zbyt wczesnych usposobieniach zmysłowych nalogów, przez rozpustnego służącego, biedny chłopczyna nadużył życia, a kiedy stryj, w epoce zamierzonej do skonczenia wychowania, zażądał jego powrotu do Polski, w 1778 roku, p. Delorme (guwerner) przywiózł chłopca czternastoletniego, ogłupiałego, ostatecznego nieuka—i w oplakanym stanie zdrowia.” Młody ten potomek książąt Masalskich umarł, jak wiemy, młodo, w 1792 roku.

Ale jest to epizod tylko, to wspomnienie o nie-szczęśliwym pupillu; książka zajmuje się głównie, starszą o dwa lata od chłopca, synowicą biskupa, Heleną, której autorka nawet miała szczęście odszukać oryginalny dzienniczek, streszczający jej pobyt i wychowanie w paryzkim klasztorze *à la mode*.

Choć p. Herpin powiada nam, że to jest dziennik pisany z dnia na dzień—mamy jednakże to przekonanie, że musiał on być pisany zaraz po zamąż pójściu, pod wpływem osobistości takich, jaką była postać jej teścia, sławnego księcia Karola-Józefa de Ligne, człowieka znanego z dowcipu, i ze swych wojowniczych awantur, które go pchały we wszystkie strony świata. To przekonanie o późniejszej dacie dzienniczka czerpiemy ztąd, iż są tam sady i uwagi, jakich 9-cio letnia dziewczynka, cudzoziemka i źle umiejająca pofrancuzku, nie mogła wyrazić w ten sposób, w jakim je wyrażone znajdujemy. W każdym razie jest to materyał ciekawy i tłómaczy nam doskonale wypadki, które w sposób tak tragiczny zakłóciły następnie życie tej wielkiej pani.

Dzienniczek, chociaż, niestety, skrócony i poprawiony—wielka szkoda—daje doskonale wyobrażenie, jakie to było wychowanie, tych kobiet, które miały być wkrótce powołane do śmiertelnej walki. Ciarki przechodzą po skórze! Dostyc jest powiedzieć, że ta 9-cio letnia dziewczynka, miała swój odrębny apartament w klasztorze, trzy, czy cztery kobiety od swych usług, i że jej wychowanie kosztowało 30,000 franków rocznie! Taka suma i w owe czasy—*excusez du peu!*

Następuje potem jej zamążpójście za księcia Karola de Ligne, syna słynnego ojca—pożycie, stosunki światowe, widocznie niedobranego stadła, podróże do Petersburga i do Polski (księcia de Ligne ojca). Najdziwniejsze kombinacje biskupa marzącego o wprowadzeniu na tron Polski ojca de Ligne (!) i nakoniec podróż do Warszawy, samej bohaterki powieści, bo ta prawda jest tak zajmująca, jak tego najdoskonalsze zmyślenie dokazać-by nie mogło.

Przybycie do Warszawy i nagła, gwałtowna miłość dla jednego z najponętniejszych, co prawda, ludzi w Polsce, dla Wincentego Potockiego, Wielkiego Podkomorzego Koronnego—przypadają na rok 1786.

Zauważmy tu zaraz—co charakteryzuje epokę i działające osoby—że księżna de Ligne w domu męża swojego, w Belgii, zostawiła małą córeczkę Sidonią, księżniczkę de Ligne; że sławny Wicuf, jak go król w poufnych listach nazywa, był ożeniony *primo voto*, z Urszulą Zamoyską, siostrzenicą Stanisława Augusta, a po rozwiedzeniu się

z nią *secundo voto* miał za sobą Mostowską i z niej dwóch małych synów.

Nie przeszkadza to przecież księżnie de Ligne zakochać się aż do szaleństwa i iść, z uporem ślepej i strasznej namiętności, do zdobycia, nietylko serca, ale i osoby p. Wincentego, rwąc i depcząc węzły swego małżeństwa z księciem de Ligne, a wyęzając wszystkie siły na rozerwanie małżeństwa Potockiego z Mostowską.

Na ostatnich kartach, widzimy tu, jak w starej greckiej tragedji, występujące nieubłagane *fatum!* Książę de Ligne ginie w bitwie pod Croix-aux-Bois, w Szampanii, jeden z synów Potockiego umiera, a nieszczęśliwa matka, widząc ostatnią ruinę swych uczuć, zgadza się na rozwód.

Jakież wzruszające i nauczące obrazy!—Mało jest książek, w którychby ta psychiczna strona, naszych pań—i nietylko z owego czasu, powiedzmy prawdę—tak wiernie, a tak silnie była oddana, jak w tym „obrazie wielkiej pani z XVIII wieku.” To kochanie, podniesione do jakiejś nieznannej gdzieindziej potęgi, namiętności ognistej i najczystszej idealnego uczucia stanowi jakby właściwość polskiej tylko kobiety, przed którą widzieliśmy tyle a tyle największych potęg kruszących się w nicłość.

Silne wrażenie, jakie sprawia ta książka, wypływa z samych tylko wypadków odpowiednio zestawionych przez samo życie, które jakby artystem swoim popisać się chciało. Pod względem faktów historycznych ogólnych nazwisk, tytułów, a nawet wyrażen cudzoziemskich, jest tu dużo niedokładności. Skrócenie i przerobienie oryginalnego dziennika jest występkiem literackim; w-zaściach księżny z wielkim podkomorzem autorka nie wskazuje nam źródła, z kąd czerpała opowieść. Nie mówi też równieź, jaką drogą dostały się jej oryginalne listy Potockiego do księżny. Pomimo nieosobliwego opracowania samej treści, książka Perey'a jest tak zajmująca i poczytną, jak rzadko. Główną jej zaletę stanowi charakterystyka kobiety polskiej w walce z namiętnością ślepą i szaloną.

Autorka mi oświadczyła, że jest to dopiero tom I-szy i że zbieranie materyału na tom II-gi jest prawie ukończone. Bardzośmy ciekawi; czekamy.

## Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Posąg Daniela Chodowieckiego**, przeznaczony do Muzeum Berlińskiego, został przez rzeźbiarza, Pawła Otto, wykonany i czasowo w Narodowej Galeryi Sztuki wystawiony. Jest on polichromatycznie zabarwiony i nawet czerwony kolor włosów mistrza został wiernie oddany. Pierwszy to raz rzeźba kolorowana wejdzie do Muzeum Berlińskiego.

— **Międzynarodowy konkurs** na posąg Mozarta w postawie stojącej, został rozpisany w Wiedniu. Termin nadsyłania dzieł konkursowych oznaczony jest do dnia 31 Grudnia bieżącego roku, nagród jest trzy: pierwsza 3,000, druga 2,000, trzecia 1,000 florenów. Posąg jest przeznaczony do umieszczenia na frontonie gmachu opery wiedeńskiej.

— **Munkaczy** otrzymał w spuściznie po Makarcie zamówienie na malowidło, mające zdobić sufit wielkiej sieni wiedeńskiego Muzeum Sztuki Historycznej, przytem kilka pobocznych obrazów. Makart już się wykonaniem tego dzieła przed śmiercią zajmował, obrazy boczne już wykończył, i szkic malowidła na sufit wykonał. Munkaczy

przecież ze szkicu tego korzystać nie będzie i zupełnie oryginalnie rzecz wykonać pragnie. Malowidło obejmować ma 100 metrów kwadratowych i Munkaczy zażądał na wykonanie trzech lat czasu, postawił też jako warunek, aby je mógł malować w Paryżu, gdzie się właśnie osiedlił.

— **Nowy instrument muzyczny** zwany Metallino, został wytworzony przez drezdeńskiego muzyka, Ottona Major. Jest to gra dzwonków z klawiaturą fortepianową. Efekt muzyki ma być zadziwiająco piękny.

— **Nenanja, historyczny dramat** serbski, który na konkursie przez królową Natalią rozpisany, pierwszą nagrodę otrzymał, a którego autorstwo królowi Milanowi przypisują, był w d. 10 Marca w narodowym serbskim teatrze wystawiony i bardzo gorąco przyjęty.

— **Mądrość Salomona**, nowy dramat Pawła Heysego, autora szlachetnie pięknej tragedji „Kolonista w Irlandyi“, został wystawiony w Hannoverze i otrzymał rzadkie powodzenie.

— **Muzeum Wagnerowskie** w Wiedniu zostało w d. 3 Kwietnia uroczyście otworzone. W obwodzie jego roztacza się przed zwiedzającym je, jakoby historia pięćdziesięcioletniego życia, twórczości i działalności Wagnera.

— **Astronom francuzki Kamil Flammarion** proponuje bardzo oryginalny sposób przekonania się co jest przyczyną trzęsień ziemi? Żąda on, aby wkopano się w głąb' ziemi na wiele kilometrów, co przy dzisiejszych środkach, któremi przemysł i nauka rozporządza, nie jest niemożliwością. Olbrzymi taki otwór byłby w dodatku nigdy nieustającym źródłem ciepła dla powierzchni ziemskiej. Rząd Zjednocz. Stan. Amer. Półn. podjął ten pomysł w każdym razie ciekawy dla badaczy skrupy ziemskiej i przeznaczył już na ten cel sumę 100,000 dolarów.

— **Judaszk Iskaryota**, obraz Gabryela Max, przedstawia typ zdrajcy w ciemności nocnej, opierającego głowę na rozsochatych, sękatych gałęziach suchego drzewa. Kruki zlatują się do niego i zdaje się patrzacemu, że słyszy jak kraczą ponuro. Twarz Judasza przedstawia najwyższe zniekanie, zmęczenie, najwyższą potrzebę odpoczynku. Pociągła, greckiego typu, z zamkniętymi oczyma, ma pewne podobieństwo z obliczem Chrystusowym starowłoskiej szkoły, tylko wyraz cierpienia jest inny, a wielki, przenikający wskrós patrzacego.

## DROBNE LISTKI.

Gdy cię zły język rani żądłem jadu,  
To niechaj starczy na pociechę twoją:  
Że tutaj jest owoc najpiękniejszy z sadu,  
Tam też szerszenie i osy się roją.

Bürger.

Nie żal się, kiedy róży  
Cierniem się kłujesz;  
Lecz ciesz się, że wśród kolców  
Różę znajdujesz.

Alf. Karr.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Charaktery kobiet u Kraszewskiego, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Na ruinach (dalszy ciąg) powieść, przez Zygmunta Sarneckiego. — Ruch muzyczny, przez Jul. Statlera. — **Korrespondencya zagraniczna**, Lwów. — **Nowiny paryzkie**, (do-kończenie). — **Z bieżącej chwili**. — **Drobne listki**.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon. — Przegląd mód. — 37 wzorów ubiorów i robót z opisem **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycyą stołu**.



Przeгляд mód.

Praktyczność znalezienia gotowego kostiumu. — Magazyn pani Anny. — Jakie materiały są w użyciu. — Fasony sukien. — Kostiumy. — Czem się przybierają? — Materiały w grochy pluszowe u pana Makowskiego.

Znany od lat kilku magazyn gotowych kostiumów pani Anny, na rogu ulicy Marszałkowskiej i Próżnej, jest dziś oprócz dawniej znanego magazynu Thonesa, jedyny może, gdzie da się zawsze wybrać gotowy kostium, na każdą cenę i do każdego zastosowania, bo właścicielka uznając właśnie brak panujący pod tym względem w Warszawie, za zasadę sobie postawiła, aby magazyn jej posiadał znaczny wybór praktycznych codziennych, czy też podróжных kostiumów, z pośród których ktoś



Nr 1. Paltocik dla chłopczyka od 3 do 5 lat. Krój i opis pierw str. tabl. Nr III, fig. 15—19



Nr 2. Suknia wełniana. Plecy. (Do ryc. 8).



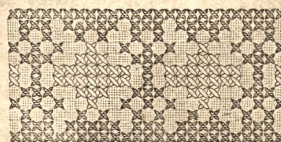
Nr 3. Suknia wełniana. Przód. (Do r. 2 w B. Nr 14)



Nr 7. Okrycie z „crepade-chine“. Plecy. (Do r. 7 w B. Nr 14)



Nr 6. Okrycie z repsu „ottoman“. Plecy. (Do ryc. 6 w B. Nr 14).



Nr 4 i 5 Szlaczki do serwet krzyżowym i Holbeina ściegiem.

nie chcący, lub nie mogący zajmować się obstatowaniem ich sobie, mógł by znaleźć rzecz gotową. Dla pań przyjezdnych jest to wielka dogodność, zwłaszcza jeżeli nie mogą bawić w mieście długo. Pani Anna więc urządziła magazyn gotowych ubiorów na wzór zagranicy, a że przytem można tu znaleźć i okrycia, oraz kapelusze i to stosowane do kostiumu, jest to zatem wielka wygoda.

Wyrażenie „kapelusze do kostiumu“, nie znaczy to, aby moda kazała sprawiać kapelusze do każdej sukni, bo by na to trzeba nie tylko milionerek, ale zbytnie grzesznych, że przecież przy dzisiejszej oszczędności, kobiety średniego stanu, nie kupują zwykle więcej nad jedną suknię, ze zmieniającą się porą roku, więc kapelusze taki, który może być użyty i do innych, a wygląda elegancko przy tej, która jest najświeższą w garderobie, dobrze się wysłuży, łącząc elegancją z zwykłym użytkiem. Sądząc z tego cośy w magazynie pani Anny widzieli,



Nr 8. Suknia wełniana. Przód. (Do ryc. 2). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 26 — 41

Nr 9. Suknia z materiału gładkiego i w pasy. Opis pierw. str. tabl.

materiały włochate i supelkowe zupełnie wyszły z użycia, a miejsce ich zajmują tkaniny miękkie, cienkie, gładkie, z nitką odmienną, w pasy, kraty.

Z włochatych tkanin utrzymały się tylko himalaje, co było do przewidzenia, gdyż na chłodną porę, a mianowicie w góry lub nad morzem w czasie letniego tam pobytu, nie ma nic praktyczniejszego. Paski zawsze są noszone, bo wiele osób nie ma upodobania do kraty, które dziś przeważają w tuletach letnich. Krata bywa albo zupełnie drobna, albo w trzech cieniach większa, przerabiana białą, niebieską lub pasową nitką.

W magazynie pani Anny, gdzie zwraca się uwagę na praktyczność, pokazywano nam oprócz wielu kostiumów w kratę, pomieszanych z materiałem gładkim; w ogóle krata używa się dziś częściej na wierz-

chnią tiunikę i stanik, a gładki materiał na spódnice i rękawy, bardzo wiele gładkich kostiumów na ciągłe użycie, lub na drogę, o wiele tańszych, których całem przybraniem jest kamizelka i kołnierzyk z mankietami, pluszowe lub aksamitne.

Nowością są kostiumy pań podróжные i spacerowe, z materiałów w guście używanych dotąd tylko na meżkie ubrania, takie suknie nie ubierają się niczem, kamizelka tylko odmiennego koloru, często biała, całe stanowi przybranie.

Suknie strojniesze gładkie, przybierają się na jednym boku fałdami z materyi lub aksamitu; pasmante-rye, hafty z dżetów kolorowych, pletnie, lub galony, bardzo gustowne urozmaicenie stanowią. Tiuniki tak samo jak dotąd, upinają się na fałszywych spódnicach 220 do 240 cent. w obwodzie mających. Długie fałdziste draperyje sute, lecz nie przesadne, odróżniają się od zeszlórczonych, większą prostotą ułożenia.

Staniki mocno podcięte na biodrach, z długimi śpiczastymi lub rozciętymi bawetami, zdobią się

aksamitem lub pluszem, rzadko kiedy symetrycznie. Kamizelki z kosztownych tkanin w deseń, wycinają się w ten sposób, ażeby tylko przy wykroju szyi i przy bawecie, uwydatniał się deseń. Takie kamizelki na białem lub kremowym tle, bardzo ładnie wyglądają, przy czarnych jedwabnych lub wełnianych sukniach. W zapięciu stanika ogromna panuje różnorodność; niektóre zapinają się za pomocą powycinanych patek na przodzie lub na boku, inne zwyczajnie na guziki lub haftki bardzo gęsto.

Na liczne pytania do mnie adresowane, o tanie pracownie, rekomenduję mieszkankom okolic Leszna i ulicy Chłodnej, panią Starzyńską, Ogrodowa Nr 5, robiącą całe kostiumy w cenie rsr. 4; mieszkankom Chmielnej panią Lipińską, Chmielna, 36; w środku miasta, panią Wodyńską, Królewska Nr 5.

U pana Makowskiego, gdzie widzieliśmy wielki wybór tak krat, jak pasów w materyałach letnich, pokazywano nam jako zupełną nowość, śliczne lekkie wełny w grochy pluszowe, a ponieważ dziś nosi się wszystko nie symetrycznie, więc i owe grochy są niesymetryczne, jedne większe, drugie mniejsze



Nr 18 i 19. Wachlarze spacerowe.

i to w kilku cieniach jednego koloru, lub nawet w kilku kolorach. Śliczne były na jasnym tle lipowem równe grochy oliwkowe pluszowe, lub na granatowem w trzech wielkościach i tyluż kolorach: pasowym, granatowym i oliwkowym.

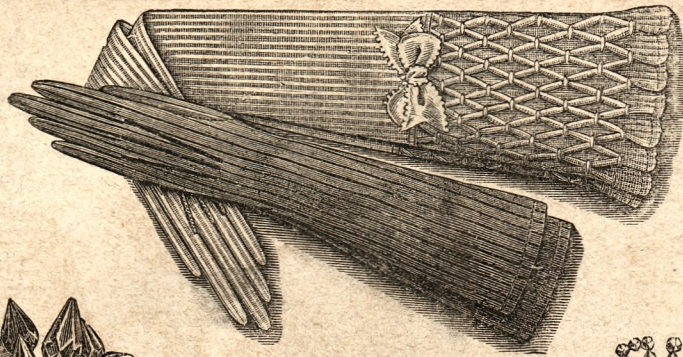
Były także na gładkiem tle szafirowe drukowane, białe lub pasowe grochy, ale już jednej wielkości zwykłego grochu, a nawet między kratą były drobniutkie grochy, na przykład: tło granatowe, kratka cieniutka biała jedwabna, a w każdej kratce pasowy pluszowy groch.

J. C.

### Rękawiczki z materyału „Jersey“.

Rycina Nr 10 i 11.

Rękawiczki w tym rodzaju bardzo są teraz noszone, nie tylko na ulicę,



lecz nawet do strojnějších wieczornych tuale. Rycina 10 przedstawia rękawiczkę wieczorową w niebieskie i białe prążki. Rycina 11 przedstawia nieco krótszą rękawiczkę spacerową dzikiego koloru, w pasowe i szafirowe prążki.

### Przepięcia do kapeluszy.

Rycina Nr 12 do 17



Nr 12 do 17. Przepięcia do kapeluszy.

Ryciny przedstawiają rozmaite przedmioty, do przybrania kapeluszy, w połowie naturalnej wielkości. Ryciny 12, 14 i 17 służą za podstawę do węzłów z wstążki lub koronki; ryciny 13, 15 i 16 wpinają się w kokardy i pomiędzy pukle z koronki; śpilka ryciny 12 z dżetowych blaszek podługowatej formy, związanych w pęczek i uwiązanych na drucie, który następnie owija nawleczonemi na nitkę paciorkami. Rycina 15 przedstawia wążki grzebień z pozłacanej stali. Rycina 16 na-



Nr 20 i 21. Wachlarze.

śląduje kasztan w pękniętej lupinie. Z takich kasztanów można utworzyć bardzo ładny bukiet, zastępujący miejsce kwiatów; środkową część kasztana, stanowią duże szlifowane granatki dżetowe, lupina zrobiona z nawlekanych na cieniutki drucik paciorków.

### Wachlarze

Rycina Nr 18 do 21.

Rycina 18 przedstawia wachlarz 26½ cent. wysoki, z fijołkowego drzewa, oprawny w złotą skórę. W jednej ze skórzanych cząstek wachlarza, znajduje się małe lustro, druga ozdobiona z wierzchu kwiatkiem, zaopatrzona jest od spodu w przybory do szycia, jako to: w nożyczki, igły, maszynkę do zapięcia rękawiczek i t. p.



Nr 22. Kapelusz słomkowy

Nr 23. Kapelusz z aksamitu, koronki i dżetu.

Rączka wachlarza ryc. 19 z popielatego drzewa, inkrustowana żółtym drzewem, połączona z górną częścią z kremowego atlasu w drukowany deseń, naśladowujący czarną koronkę.

Wachlarz ryc. 20 w kształcie palety, zrobiony z podwójnej krepy jedwabnej brązowego koloru, oprawnej w trzcinową ramkę; wierzch wachlarza zdobi ręczne malowidło.

Rycina 21 przedstawia wachlarz koncertowy z połączanego drzewa i krepy karbowanej, na której wymalowane są trzy liście, z których jeden żółty, drugi brązowy, trzeci pąsowy.

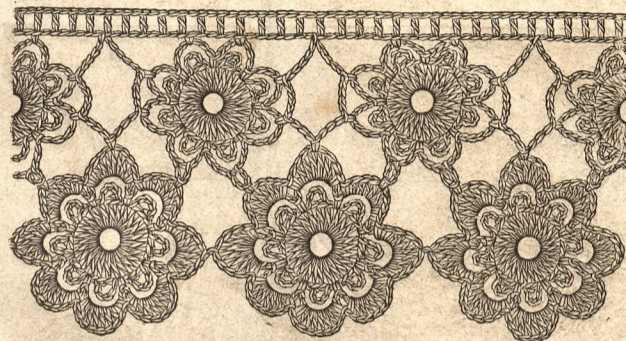
### Kapelusz słomkowy.

Rycina Nr 22.

Kapelusz o wysokiej główce, z wklęsłym denkiem z pleśni żółtej i piaskowej; rondko z grubej brązowej i żółtej słomy, z przodu i z lewego boku na 9 cent. wygię-



Nr 24 do 27. Kapelusze słomkowe dla młodych panien.



Nr 28. Koronka szydełkową robotą.

te, podszyte jest z brzegu podwójną wypustką z piaskowego aksamitu. Pukiel aksamitny i kokarda z brązowej wstążki z żółtym atlasowym brzegiem, stanowią przybranie kapelusza.

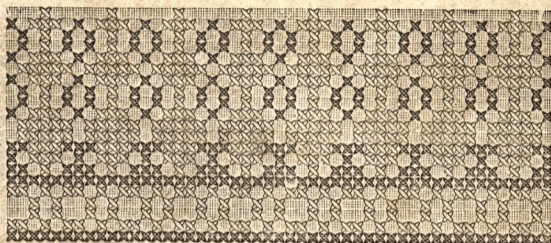
### Kapelusz z aksamitu, dżetu i koronki.

Rycina Nr 23.

Główka z drutu i żółtej petynety, obciążona najpierw żółtym tiulem jedwabnym, a następnie siatką z czarnego szlifowanego dżetu, zęby z dżetowych paciorek nawlekanych na drut, dwoma rzędami przecinają denko kapelusza. Rondko obciążone czarnym aksamitem, przykrywa girlanda z aksamitnego różowego bzu; takaż girlanda zdobi środek denka, pomiędzy sterzącymi ząbkami. Koronka marszczona, przechodząca na bokach w płaskie fałdy, uzupełnia kapotkę przybraną prócz tego kilkoma bukietami z różowych aksamitnych pierwiosnków i dżetowymi śpilkami. Kokarda z różowej wstążki wpięta w girlandę bzu, na samym przodzie kapelusza, wiązane pod brodą na koronkowe szarfy.



Nr 31. Znak do bielizny.



Nr 30. Szlaczek do sukienek, fartużków i t. p.



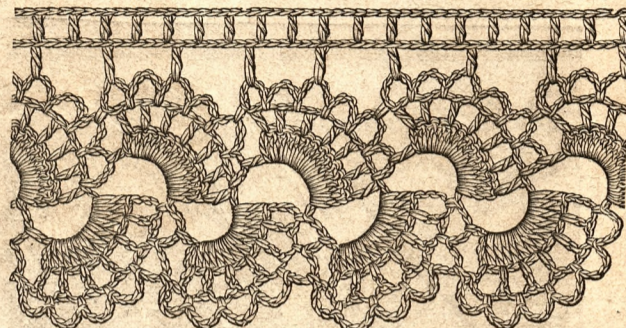
Nr 32. Stoliczek do herbaty. (Do ryc. 34).

fałdki ułożoną falbaneczką ze słomianej pleśni. Forma kapelusza ryciny 26, także dla większych panienek jest właściwą, główka jego 14 cent. wysoka, połączona z rondkiem z przodu 8 cent. szerokim, z boku odwiniętym i zagiętym podług ryciny. Rycina 27 przedstawia kapelusik dla małych dzieci właściwy, z fantazyjnej włoskiej słomki zakończonej kontrafałdą z pleśni, główka tego kapelusza ma 11 cent., rondko w około równe, ma 8 cent.

### Znaki do bielizny.

Rycina Nr 31 i 32.

Znaki te mogą być wykonane również na bieliźnie stolowej, białą lub kolorową bawełną.



Nr 29. Koronka robotą szydełkową.

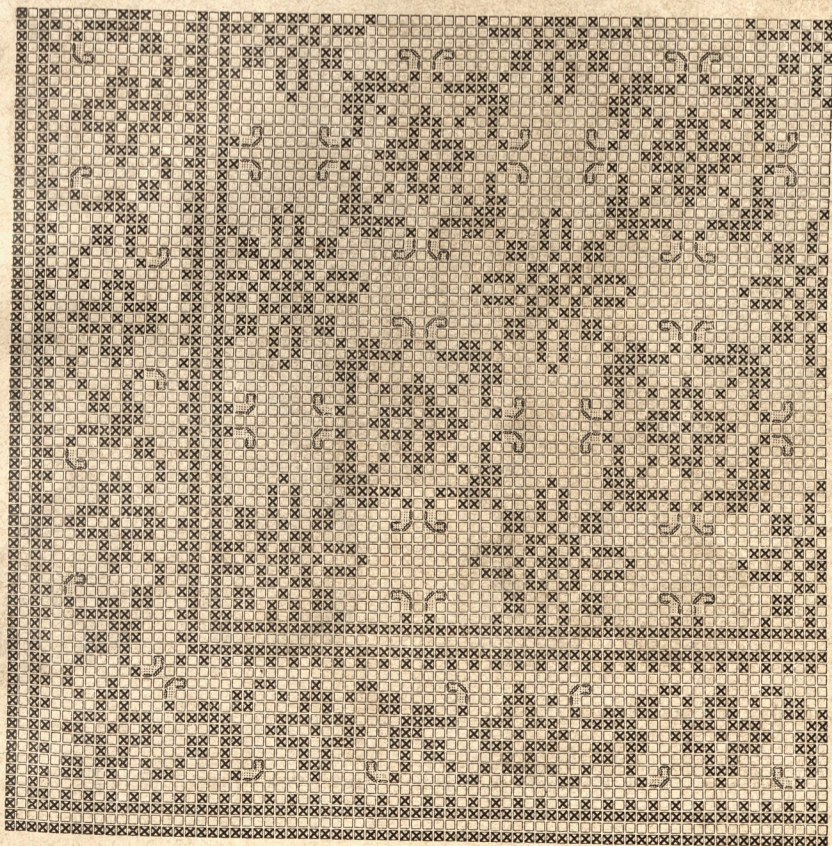


Nr 32. Znak do bielizny.

### Taboret haftowany.

Rycina Nr 36 i 38. Wzór odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53.

Taboret tapicerską robotą wykonany, wysłany włosom, obity pluszem i przyozdobiony frendzlą pasmanteryjną, oraz sznurami. Haft wykonany na bawełnianym pąsowym repsie, na który deseń fig. 53 i ryciny 37 przeniesieć na materiał, kontury większych arabesków obwieść złotym i metalowym sznureczkiem, mniejsze figury odznaczyć japońską przędzą, zapelnąć środek, bawełną hafciarską oliwkowego i brązowego koloru, ścięciem łańcuszkowym i rybiej łuszczyki, przyszywając takowe złotą i metalową nitką. Brzeg haftu wzdłuż linii obwieść ścięciem łańcuszkowym czarną bawełną, umieszczając w środku łańcuszków złoty kordonek; następne dwie obwódki wykonane szydełkiem, piskowego i orzechowego koloru bawełną i przyszyte odwrotną stroną na wierzch podług deseni. Po skończeniu haftu wyciąć brzeg materiału podług konturów deseni i zamocować na taborecie, zdobiąc kwastami narożniki haftu.



### Kapelusze letnie dla młodych panien.

Rycina Nr 24 do 27.

Właściwy dla większych panienek kapelusz ryciny Nr 24 z ryżowej słomki fantazyjnie plecionej, ma denko wklęsłe, a rondko z boków odwijane.

Kapelusik ryciny 25 z białej florenckiej słomki, zakończony w kontra-



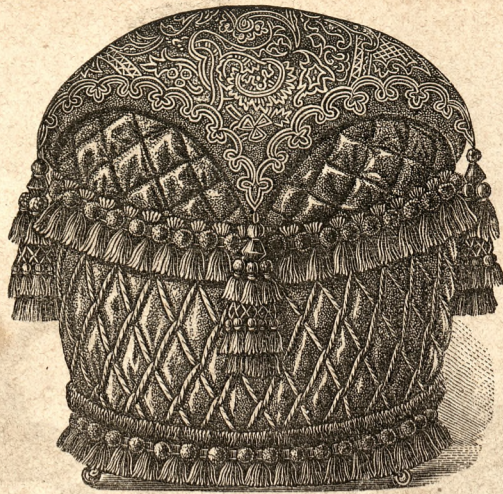
Objaśnienie znaków: \* pąsowy, ' tło. Nr 34. Część deseni na serwetkę ryc. 33.

\* pąsowy, ■ ciemno-niebieski, ■ jasno-niebieski, □ tło. Nr 35. Deseń na serwetki, i t. p.

## Przepisy gospodarskie.

### Kotlety cielece z szynką.

Cielecina należy zawsze do mięsa mdłego; w Londynie, gdzie wszystko musi być pikante, to jest ostre, bo wiemy jak Anglicy przygotowują wszystko sojami, tak, że nawet leguminy, jak plumbudyngi, są pełne aromatycznych korzeni—podają kotlety cielece z szynką, o czym przekonawszy się, dzieli się z czytelnikami sposobem podania. Usmarzyć, jak zwykle, bite cielece kotlety, naturalnie na maśle; mieć, jeżeli można gorącą szynkę, ponieważ jednak w tem trudność zachodzi, więc świeżą, pokrajaną w plastry razem z tłuszczem, trzymać na talerzu na parze, to jest nad garczkiem z wodą, pod pokrywą, żeby była ciepła. Usmażone kotlety układać na półmisku, kładąc pod każdy gorący plasterzek szynki tak, aby biorąc kotlet, zabie-



Nr 36. Taboret z haftowanym pokryciem.  
(Do ryc. 37). Deseń odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53.

rać razem i szynkę, a następnie krajać i jeść razem. Na wierzchu polać półmisek bulionem zagotowanym z masłem, w którym się smarzyły kotlety. Połączenie takie jest bardzo smaczne.

L. C.

### Obiad na Niedziele.

1. Rosół z jarzynkami zasypany makaronem w gwiazdkach.
2. Sztukamięsa biała z kwaszonymi ogórkami, polana sosem z kartofli.
3. Szpinak z omletem.
4. Indyk nadziewany z sałatą.

Opis ryc. Nr 28, 29, 33 i 35 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do zeszłego numeru.



Nr 37. Czwarta część haftu uo ryc. 36. Deseń odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53